Rok XII. Nr. 4.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Październik.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1906.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1907 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — XX. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Historya prowincyi portugalskiej Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy.

Już od dłuższego czasu ukazuje się w rocznikach francuskich historya prowincyi portugalskiej naszego Zgromadzenia. Prowincya ta, licząca w kraju macierzystym, w Portugalii, 5 domów, pierwsza przeszczepiona na grunt amerykański do Brazylii, gdzie dziś liczy 15 osad, ma dzieje wielce podobne do dziejów naszej polskiej prowincyi. Skazana na zagładę w r. 1833, upadła w Portugalii prawie zupełnie, zato zakwitnęła w koloniach, a w końcu doczekała się restauracyi i w samym kraju macierzystym. Dzieje tej prowincyi zaciekawią nas tem więcej, skoro na jej pole pracy wkroczyła teraz nasza prowincya, a Konfratrży portugalscy z prawdziwie braterską miłością przywitali naszych Misyonarzy i osłodzili swoją życzliwością ciężką ich pracę w oddaleniu od ojczyzny. Ubogi nasz lud, w drodze za chlebem napełniający niemal wszystkie kraje świata, przyczynił się do zacieśnienia więzów obu tych prowincyi, które osadzone na krańcach katolicyzmu w Europie, nigdyby się skądinąd nie były zetknęły. Nieprzewidziane wyroki Opatrzności Bożej zbliżyły w ten sposób dwa oddalone narody i ich kapłanów; zjednoczenie i spotkanie zaiste dziwne i szczególne, które św. Wincenty uprosił dla swych synów w niebie i z czego się dziś cieszy Jego serce, tak jak niegdyś za życia cieszyło Go każde z trudem zdobyte nowe pole pracy.

Zgromadzenie Ks. Ks. Misyonarzy osiadło i rozszerzyło w Portugalii w pierwszej połowie XVIII. wieku, lecz niedługo, niecały wiek nawet, mogło się rozwijać i oddawać pracy swego powołania. Prądy przewrotowe XVIII. wieku, zwanego wiekiem oświecenia, wrogie Kościołowi i zakonom, a przedewszystkiem

masonerya, sięgnęły i do tego oddalonego kraiku, wywołując straszne prześladowanie Kościoła, które z małemi przerwami trwa niemal do dnia dzisiejszego. Walka z Kościołem rozpoczęła się tu od upadku i zniesienia zakonu OO. Jezuitów i nigdzie prześladowanie tego zakonu nie przybrało tak gwałtownych i krwiożerczych cech, jak w Portugalii. Straszne trzęsienie ziemi w roku 1755, ruina i zgliszcza Lizbony i całego szeregu innych miast, rozpoczęły pasmo klęsk, które miały odtąd spadać na to nieszczęśliwe królestwo. Upadek i zniszczenie redukcyi paragwajskich, zawojowanie Portugalii przez Napoleona, oderwanie się Brazylii, wewnętrzne rewolucye i walki o tron królewski, upadek kolonii i zależność od Anglii — oto klęski, które starą Portugalię zepchnęły dziś do rzędu podrzędnego państewka. Naturalnie wśród takich przewrotów i losy naszego Zgromadzenia musiały ulegać częstym zmianom tak w kraju macierzystym, jak i w koloniach.

DZIEJE ZGROMADZENIA W PORTUGALII.

Początek i założenie naszego Zgromadzenia w Portugalii łączy się z osobą pierwszego Misyonarza portugalskiego, księdza Józefa Gomes da Costa. Pochodził ze znakomitej, szlacheckiej rodziny i urodził się w Torre da Moncervo, miasteczku archidyecezyi Braga. Przypadkowem było jego powołanie do Zgromadzenia. Według pamiętnika Misyonarza portugalskiego ks. Vieira z r. 1790. rzecz się miała, jak następuje: Kilku młodych przyjaciół przyszłego księdza da Costa udawało się do Włoch na studya; dla pożegnania się z nimi przybył i da Costa do Lizbony i odprowadził ich do portu, a nawet wstąpił na pokład okrętu. Wśród czułości rozłąki okręt podniósł kotwicę i odpłynął; da Costa nie opuścił już swych przyjaciół i razem z nimi jako 20-letni młodzieniec w roku 1687. przybył do Rzymu. Tu po odbytych studyach wstąpił do naszego Zgromadzenia i został wyświęcony na kapłana. W roku 1708. zostaje superyorem domu św. Jana

i Pawła na Monte-Coelio w Rzymie. Teraz zaczyna się krzątać około interesów Zgromadzenia. Byłto człowiek zdolny, obrotny, lecz i niezmiernie ambitny, który za wszelką cenę pragnął zostać założycielem Zgromadzenia w Portugalii, lecz niestety, sławę fundatora zaćmił krętactwem, intrygą i dwuznacznem postępowaniem wobec generalnych przełożouych. Bez odwoływania się do nich w sprawach tak ważnych, jak zakładanie pierwszego domu w obcym kraju, wyjednał sobie w Rzymie od kilku kardynałów a nawet od papieża listy polecające do biskupów portugalskich i króla Jana V. i wybrał się z powrotem do ojczyzny. Po drodze uzyskał w Genui znaczną darowiznę od bogatego Jana Maryi Cambiazi na założenie domu w stolicy i tak zaopatrzony wylądował w Lizbonie 1713. r. Polecenia kardynałów i brewe papieża Klemensa XI. skutkowały; o przybyciu da Costy dowiedzieli się wnet wszyscy biskupi Portugalii i zaraz posypały się oferty na założenie pierwszego domu Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy. Pierwszy zgłosił się biskup z Portalegre, potem arcybiskup z Lizbony, późniejszy kardynał da Cunha, trzeci arcybiskup z Bragi, wreszcie biskup z Algave i biskup z Guarda. Niektóre oferty zawierały wyraźne propozycye, nawet bliżej określone, jak n. p. dyrekcya seminaryum w Portalegre, założenie domu dla rekolekcyi i misyi w Guarda, hospicyum w Lizbonie, inne zawierały słowa zachęty i przywitania, lecz prawie wszyscy biskupi, zwłaszcza arcybiskup-prymas z Bragi, zastrzegli sobie poprzednie zatwierdzenie królewskie wszelkich nowych fundacyi. Nic więc nie pozostawało księdzu da Costa, jak uzyskanie autoryzacyi Zgromadzenia ze strony kancelaryi królewskiej. Zdecydował się wkońcu na przyjęcie domu w biskupstwie Guarda, który miał stanąć w Castello-Branco, mieście najludniejszem z całej dyecezyi, bo ostatecznie propozycye biskupa tej dyecezyi miały jeszcze najrealniejszą podstawę. Na tę fundacyę, jakoteż na osiedlenie się Zgromadzenia w Portugalii uzyskał wnet ks. da Costa dekret królewski, bo już w r. 1714. pod datą 22. lipca. Dekret ten był niespodzianką dla samego ks. da Costa, a w Paryżu

wywołał wprost oburzenie i zgorszenie. Król Jan V. powołując się na brewe polecające Klemensa XI., które ks. da Costa przywiózł ze sobą z Rzymu, zgadza się z radością na nową fundacyę i osiedlenie Zgromadzeuia w Portugalii, poleca założyć w dyecezyi Guarda nowy dom, który może liczyć 30 członków księży i braci Portugalczyków albo też inne narodowości przyjaznej i niepodejrzanej w krajach jego berłu podległych. Na końcu dekretu mieściła się jednak klauzula, mocą której ks. da Costa zostaje zamianowany niezależnym superyorem domu i przełożonym Zgromadzenia w Portugalii bez odwoływania się do jakichkolwiek wyższych przełożonych, jak tylko wyłącznie do Stolicy Apostolskiej. Schizma w Zgromadzeniu była więc rzeczą dokonaną. Generał Bonnet i wikaryusz generalny Couty w Paryżu przypisywali całą winę rozdwojenia ks. da Costa; ten jednak postanowił przeczekać chwilę, bo liczył się z prądem, panującym na dworze królewskim. Za Jana V. rozpoczyna się oporna polityka na dworze lizbońskim wobec Watykanu, co później miało się wyrodzić w skrajny absolutyzm kościelny za Pombala. Sam król Jan V., monarcha skądinąd pobożny, lecz w sprawach kościelnych pretensyonalny, otrzymawszy od papieża Klemensa XI. tytuł patryarchy dla arcybiskupów Lizbony, zażądał w nieprzystojny sposób od papieża Benedykta XIII. purpury dla odwołanego z Portugalii nuncyusza Bichi; a kiedy papież dla słusznych powodów i wobec protestu kollegium kardynalskiego, żądanie to odrzucił, król zerwał 1725. r. stosunki z Rzymem, poddanym swoim kazał opuścić miasto wieczne, zabronił nawet klasztorom portugalskim wysyłania do Rzymu zwykłych jałmużn. Tem wymógł, że Klemens XII. obdarzył wkońcu Bichi'ego kardynalstwem, co mniejszem złem się wydawało. Od Benedykta XIV. wyjednał sobie król oprócz rozległego patronatu, tytuł *rex fidelissimus,* odtąd stały przydomek królów portugalskich, a w końcu dla zadośćuczynienia ambicyi króla podniósł tenże papież arcybiskupstwo Lizbońskie do rzędu patryarchatu w r. 1740. Ta powolność Rzymu rozbroiła Jana V., odtąd stał się dobroczyńcą klasztorów

i kościołów, a przedewszystkiem naszego Zgromadzenia, tak, że w cyrkularzu z r. 1751. generał De Bras poleca zmarłego króla modlitwom, jako szczególnego dobrodzieja Zgromadzenia. Otóż z tym prądem na dworze lizbońskim na początku rządów Jana V. liczył się wielce ks. da Costa i z tego umiał się także usprawiedliwić przed generałem Bonnet; dymisya, którą mu grożono, nigdy nie przyszła do skutku i prawdopodobnie tą zwłoką i przeczekaniem chwili uratował losy Zgromadzenia, które jego następca mógł już wprowadzić na właściwe tory. Naturalnie wśród tych zabiegów księdza da Costa ujawnił się jego brak cnoty, prostoty i powierzenie losów Zgromadzenia więcej wyrokom Opatrzności Bożej, aniżeli staraniom ludzkim. Licznym stosunkom tak w kuryi papieskiej jak i na dworze zawdzięczał swoje powodzenie, lecz jego duch niespokojny nie pozwalał mu spocząć. Zrywa układ z biskupem dyecezyi Guarda i w r. 1716. zjawia się w Rzymie po raz drugi. Pomimo przeszkód ze strony wizytatorów prowincyi rzymskiej ks. Giordanini i ks. Gloria, wyjednał sobie da Costa nowe polecające brewe od papieża i zmianę fundacyi na osiedlenie się w stolicy Portugalii; zaopatrzywszy się jeszcze w polecenia kardynałów i wielkiego księcia toskańskiego Kuźmy III., wrócił do ojczyzny. Za radą kilku przezornych przyjaciół postanowił ks. da Costa osiedlić się w Lizbonie, gdzie Zgromadzenie mogło lepiej spełnić obowiązki swego powołania i działać na szerszą skalę. Już w styczniu 1717. r. otrzymał ks. da Costa nowy dekret królewski, mocą którego jako jedynie od Stolicy apostolskiej zależny przełożony Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy, mógł się osiedlić w stolicy. Dekret ten jeszcze więcej zaznaczył schizmę i rozdwojenie, gdyż wyraźnie podnosił niezależność superyora od przełożonego generalnego, rezydującego we Francyi. Sprawa osiedlenia się w stolicy postępowała jednak niezmiernie powoli. Zrazu osiadł ks. da Costa w domu prywatnym; król zaszczycał go swą przyjaźnią i zaufaniem i to dodawało mu i odwagi w trudnościach. Po kilku miesiącach przenosi się do seminaryum katedralnego i tu urządza pierwszy dom Zgro-

madzenia; po połączeniu jednak tego domu z klasztorem Augustyanów bosych, wynajmuje znowu nowy dom daleko obszerniejszy na ul. Gavotas przy pomocy króla Jana V., który go często odwiedza i uczestniczy w nabożeństwach w kaplicy domowej, poświęconej św. Janowi i Pawłowi. Teraz dopiero w r. 1718. przybyło mu z pomocą czterech księży i dwóch braci z Włoch, a wśród nich i ks. Józef Joffreu, jego następca w godności superyora. Ponieważ jednak właściciel za żadną cenę domu nie chciał sprzedać, trzeba więc było pomyśleć o nowej rezydencyi. Po długich staraniach udało się ks. da Costa kupić dom obszerny na przedmieściu Lizbony t. zw. Rilhafolles w r. 1720. Osobnym rozkazem król Jan V. opróżnił go z lokatorów i wypowiedział mieszkanie hrabinie Taronca, która domu opuścić nie chciała. Wreszcie więc po siedmioletniej tułaczce Misyonarze znaleźli się w nowym budynku, który miał zostać domem centralnym prowincyi portugalskiej. Rozpoczęła się praca Zgromadzenia, której z zadowoleniem przyglądał się król Jan V. Schizma tylko i rozdwojenie zasmucała przybyłych z Włoch Misyonarzy; superyor tłómaczył się uporem króla przed generałem Bonnet i prosił o stosowną chwilę i zwłokę we wyjednaniu zależności od przełożonych generalnych. Konfratrzy jednak nie uznawali tego i nie chcąc żyć w schizmie i rozdwojeniu opuścili 1721. r. Lizbonę i wrócili do Włoch. Zdaje się, że i zmiany pewne w pożyciu i ubraniu wpłynęły na tę decyzyę, ks. da Costa nie życzył sobie, by się Misyonarze od duchowieństwa świeckiego odróżniali. Tylko ks. Józef Joffreu i jeden brat pozostali przy ks. da Costa, ratując tutaj w ten sposób Zgromadzenie od upadku. Naturalnie wobec tak małej liczby członków i praca nie mogła być wielką. Misyę dali tylko jedną w miasteczku Samora w patryarchacie Lizbońskim; zato w domu przybrała praca wielkie rozmiary. Sam ks. da Costa pracował niestrudzenie, udzielając rekolekcyi tak ludziom świeckim jak kandydatom do stanu kapłańskiego. Osławiony późniejszy minister Pombal był jednym z pierwszych, którzy u Ks. Ks. Misyonarzy odprawili rekolekcye;

nadto odbywali tu swoje ćwiczenia ludzie różnego stanu, szlachta, mieszczanie, kler niższy i wyższy. Nawet wybitne osobistości oddawały się tu ćwiczeniom duchownym. Infant Don Jose trzykrotnie odprawił tu rekolekcye, ostatnie nawet przez 84 dni, by się godnie przygotować do stanu kapłańskiego. Don Diego Margues Mourato, późniejszy biskup Mirandy, odbywał rekolekcye przez 22 dni. W katalogach rekolektantów spotykamy też imię wielkiego sługi Bożego, księdza Baltazara od Wcielenia Pańskiego, zakonnika z Monsagrado, założyciela zakonu Dobrej śmierci, czyli t. zw. później Paulinów bosych, podlegających do dziś dnia przełożonemu generalnemu w Częstochowie. Zgromadzenie, dzięki zapobiegliwości ks. da Costa, miało też wielu dobrodziejów; przy ich to pomocy stanęła wnet piękna kaplica, którą hojnie obdarowali król, infant Don Francisco, patryarcha Almeida i inni dobroczyńcy. Wśród ciągłej, gorliwej pracy i nieustannych pertraktacyi z Generałem, umarł ks. da Costa w roku 1725. Do ostatniej chwili cieszył się przyjaźnią króla Jana V., który za wszelką cenę chciał go utrzymać przy życiu, przysyłał hojne jałmużny, by popłacić lekarzy, raz np. 1200 a drugi raz 1000 franków. „Jednem słowem, ks. da Costa, jak mówią roczniki francuskie Zgromadzenia z r. 1882, wielce się zasłużył około założenia i wprowadzenia Ks. Ks. Misyonarzy do Portugalii, lecz niestety, w całej tej pracy odpowiadał więcej życzeniom i woli króla, niż rozkazom swych przełożonych; postanowił sobie stworzyć dzieło o charakterze narodowym wyłącznie, a nie takie, jakie założył św. Wincenty a Kościół potwierdził. Bóg też użył go tylko do budowy materyalnej; wprowadził Zgromadzenie do Lizbony, nabył dlań dom w Rilhafolles, zapewnił mu dochody i umarł. Następca jego, ks. Joffreu, dożył z łaski Opatrzności Bożej tej pociechy, że jako prawdziwy Misyonarz wzniósł budowę duchową Zgromadzenia w tym kraju i założył dom w zupełnej zależności od generalnych przełożonych, musiał jednak wiele przecierpieć i wiele znieść trudności, nim tego dokonał“.

Ks. Jan Rzymełka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Misye w Królestwie Polskiem, dane przez Konfratrów z naszej prowincyi w r. 1906.

(Dokończenie).

Zaskoczony znienacka prośbą Szanownej Redakcyi „Roczników“ w przerwie między misyami, bawiąc dni kilka w Krakowie, spisałem kilka pobieżnych notatek o naszych pracach świeżo wtenczas ukończonych na ziemi zupełnie nam przedtem nie znanej. I to „Roczniki“ nasze w numerze z lipca b. r. ogłosiły. Po tych misyach podjęliśmy jeszcze kilka prac, o których obecnie wspomnieć mi wypada. Sprawa to jednak, jak na obecne położenie moje, dosyć trudna. Notatki bowiem, jeżeli jakie zdążyłem zrobić wśród natłoku pracy, albo zostały w Krakowie, albo gdzieś przy przenoszeniu się na inne mieszkanie zaginęły; głowa zajęta dziś parafią i drobiazgami do niej należącemi, pamięć jeszcze znużona niedawnemi przejściami, cały człowiek jakiś z ruska nastrojony.

Dąbrowa górnicza. Po misyi w Pogoni wróciliśmy do Krakowa pomęczeni, zmarnowani jak z jakiej bitwy. Kilka dni, przeznaczonych na wytchnienie, przebiegło jak jedna chwilka, bo wkrótce wypadło się brać do nowej wyprawy. Ks. Ks. Steindorfer i Mazurkiewicz, mając jeszcze wystarczające paszporty, wyjechali już 30. lipca i tegoż dnia zaczęli misyę wielką w Dąbrowie górniczej; mnie zaś i Ks. Szymborowi już się paszporty kończyły, trzeba było do konsula lwowskiego posyłać, spóźniły się; skutkiem tego i my mogliśmy dopiero nazajutrz t. j. 31. lipca za druhami naszymi pospieszyć. Misya ta zapowiadała się dobrze, nawet wspaniale; boć już pierwsze lody połamało się poprzednio: i my-

śmy jakiej takiej wprawy nabrali w pracy nad fabrykantami i księża parafialni już się do misyi i do nas przyzwyczaili, a obecny proboszcz dąbrowski, Ks. Augustynik, szeroko i daleko po okolicy znany ze swej gorliwości, skrupulatnie się nam przypatrywał, pomagając na poprzednich misyach, przygotowania najrozmaitsze słowem i czynem i drukiem nawet porobił, żeby się misya jak najlepiej powiodła. Jednak sprawa szła mozolnie i dosyć tępo, wynik był dostateczny — a mógł być przecież lepszy.

Parafia to ogromna, bo liczy coś przeszło 20.000 dusz, a istnieje dopiero od 30 lat. Pierwotnie był tu kościół średnich rozmiarów; ten przed 8-miu laty przebudowano czyli raczej dobudowano do niego bazylikę ogromną, a stary został jako przyboczna kaplica. Pokryto go ładną dachówką, urządzono jako tako wewnątrz i już w tym nowym nabożeństwa się odprawiają; na zewnątrz wieże dwie główne, pomniejsze wieżyczki i najrozmaitsze ozdóbki jeszcze w robocie. Tak wśród rusztowań, stosów cegieł, kamieni, piasku, wapna i t. d., praca nasza się odbywała. Słowo Boże głosiliśmy i spowiedzi słuchali prawie przez całą misyę na cmentarzu obok kościoła, bo kościół sam, lubo obszerny i tysiące narodu pomieścić może, ma jednak dziwną akustykę, przytem jeszcze pusty — to echo powstaje takie, że trudno znaleźć kaznodzieję, żeby go tu wszyscy słyszeli. Na brak słuchacza i penitenta żalić się nie można; raziła jednak i tu dziwna jakaś obojętność i ociężałość, a przytem jakieś kaprysy i pretensye; to zresztą jest jednym z przymiotów tutejszej fabrycznej ludności. Kaznodzieja piersi zrywa, a tu całe masy leniwców wyciągają się na trawie, albo siadłszy na ławach, o polityce gwarzą. Spowiednicy się zjadą, siedzą w kurzu, jak młynarze zasypani popiołem — a ci kapią jak z łaski; przyjdzie znowu jakaś chwila, że się ruszą, to aż konfesyonały połamią: pcha się to wszystko, żeby się raz, dwa odbyć — elektrycznie. Wiarę głęboką, pokorą i skruchą, któremi się tyle można u ludu galicyjskiego, czy śląskiego zbudować, tu dość rzadko się spotyka.

Żeby ludowi i sobie pracę ułatwić, dzielimy zwykle parafian na partye, bierzemy ich stanami: jedni idą do kościoła, to drudzy domu pilnują. To się nam wszędzie dotąd udało, tylko nie tu w Polsce. Biadaliśmy nad tem na poprzednich misyach, myśleliśmy rozdawać im karteczki kolorowe, jak się to gdzieindziej praktykowało; ale i te niewiele pomogły — jakieś p e c h ' y jawiły się jeden po drugiem i pracę mieszały. Proboszcz miejscowy, jak się wspomniało, gorliwy w niezwykłej mierze, słysząc o zachwalanych przez nas karteczkach, kazał je w miejscowej drukarni odbić w 2 kolorach. Aż dotąd dobra sprawa. Ale jak to oddał w opiekę tercyarzom, żeby w budkach przy kościele sprzedawali po kopiejce a tą drogą przymnożyli funduszu na dokończenie kościoła, lud się zaciął. Karteczki zwykle odbierają spowiednicy, potem je liczymy wieczorami, wiemy ile się wyspowiadało, ile jeszcze czeka; tu mieli sobie te drukowane świstki zatrzymać na pamiątkę... Spekulantom tutejszym w to graj! Żeby sobie kopiejek oszczędzić, dalejże na jedną kartkę po kilka i kilkanaście osób szwarcować: jedno drugiemu podawało. Jeżeli się kartki daje, to na to, żeby jak najwięcej miejscowych parafian dopuścić. Tu kto miał kopiejkę, to dostał od tercyarza znaczek i tym sposobem jaka połowa naszych penitentów z Będzina, Sosnowa, Pogoni, wróciła z poprawkami, a tutejsi namyślali się na trawie, co robić. Nie udał się ten pomysł z kartkami. A skorośmy do tych budek kramarskich zaszli, to wspomnę jeszcze o jednej aferze, którą one wywołały. W rannem przemówieniu zapowiedział raz ks. proboszcz, żeby dewocyonalia w budkach brali. Eheu! posłyszeli to kramarze od Koziegłów, Częstochowy i zdalsza za nami ciągnący, zrobili wojnę zaciętą pod kościołem, od słów począwszy przyszło do pięści, a mało brakło, że rewolwery nie były w robocie. Użalili się przed socyalistami; ci wysłali na egzekucyę 2 czy 3 zbrojnych towarzyszy, którzy w sam dzień Matki Boskiej Anielskiej wieczorem po odpuście wpadli z rewolwerami do onych budek i cały zebrany dochód zrabowali.

Część z tego t. j. 180 rs. odesłali do swojej głównej komendy w Częstochowie, skąd za kilka dni ostry upominek nadesłano proboszczowi, aż go odchorował.

Dbał wiele o to ks. proboszcz Augustynik, żeby misya trafiła na odpust Matki Boskiej Anielskiej, w którym to dniu całe Zagłębie tu się gromadzi a nie brak też i Galicyan naszych od granicy. Żeby znowu mężczyzn jak najwięcej dostać do konfesyonałów, pierwszą połowę misyi, w której i ten odpust wypadł, dla nich wyznaczyliśmy. Szli jednak dosyć tępo. W sam dzień odpustu liczono kapłanów 38, a w inne dni siedziało nas po kilkunastu. Ogółem, o ile to dało się policzyć według komunikantów, było uczestniczących przeszło 11.000, w którą to cyfrę wchodzi znaczna część z sąsiednich parafii, którzy u siebie na misyi byli u spowiedzi.

Krzyż misyjny poświęcił ks. Szymbor, bo ja zupełnie głos straciłem: śpiewać ani mówić nie dało. Ceremonia ta odbyła się w poniedziałek dnia 6. sierpnia wieczorem po nieszporach. Z powodu ulewnego deszczu i burzy kazanie konkluzyjne powiedział ks. Steinsdorfer w kościele. Po nim wszedł na ambonę niestrudzony w pracy, niewyczerpany w pomysłach ks. Augustynik. Mówił dobrą godzinę, aż zachrypł, a naród płakał i płakał... Zszedłszy z ambony, pobłogosławił nam na drogę i jeszcze raz od ołtarza przemówił, polecając parafianom, by na pamiątkę misyi dwie rzeczy zrobili: 1) podtrzymywali ofiarnością swoją ochronkę dla sierót po robotnikach fabrycznych, 2) dopomogli mu do wzniesienia figury czy obrazu, względnie ołtarza naszego św. fundatora w budującym się kościele, nad którym to ołtarzem umieści napis: „Św. Wincenty a Paulo pierwszy i najlepszy socyalista“... Jedno i drugie obiecali parafianie poprzeć. Nazajutrz 7. sierpnia przeczekaliśmy tu jeszcze do południa, kończąc niedobitki a zaraz po obiedzie wyjechaliśmy na sąsiednią górę do kościoła w Gołonogu, gdzie następna czekała praca.

Gołonóg i Ząbkowice. Do niedawna parafia to olbrzymia, jak dyecezya włoska i dzisiejszy proboszcz ks. Tadeusz Ko-

narski nadzoruje aż 3 kościoły i 1 kaplicę — prepozyt całą gębą. W Gołonogu jest kościół matryczny, przy którym obecnie obowiązki duszpasterza pełni i stale rezyduje ks. Stanisław Markowski, po naszemu expozyt. W Strzemieszycach buduje się nowy kościół olbrzymich rozmiarów; tam osiadł ks. proboszcz Konarski z drugim swoim wikaryuszem ks. Brunonem Lipińskim. Na kopalni Kazimierz, inaczej także Niemcami zwanej, jest mała kapliczka, do której ze Strzemieszyc z nabożeństwami dojeżdżają. W Ząbkowicach świeżo wybudowano kościół, przy którym osiadł stale jakby expozyt ks. Franciszek Plenkiewicz. Wszystko to córki i wnuczki matrycznego kościoła w Gołonogu. Sam Gołonóg liczy obecnie około 5.000 dusz, Ząbkowice 3—4 tysięcy, a Strzemieszyce przeszło 12.000 dusz.

Dbały o tyle dusz ks. Konarski, układał się, umawiał z nami na poprzednich misyach, a gdy już na niego kolejka przyszła, zjechał po nas do Dąbrowy i solennie do swego kościoła wprowadził. Przemówił po „Veni Creator", wykazując, że jak woda czysta w źródle, płynąc przez bagniska, staje się mętną, brudną, tak i wiara praojców naszych na wzór całemu światu mogła służyć, a dziś, do czego doszło?!... Pracę rozłożyliśmy tu na trzy dni z okładem. — Na zaczęcie byliśmy wszyscy czterej i w pierwszym dniu pomagaliśmy sobie jeszcze. Dopiero od południa 8. sierpnia rozdzieliliśmy się tak: ks. ks. Steinsdorfer i Mazurkiewicz zostali w Gołonogu, ja zaś z ks. Szymborem pojechaliśmy do Ząbkowic, by kolonistom i fabrykantom miejscowym dać krótką misyjkę. Dwie te prace, lubo krótkie, wiele nam pociechy sprawiły. Do Gołonoga jak i do Ząbkowic podążyły całe masy spowiedników i pospowiadaliśmy wszystko do szczętu. Zasługa to zacnych duszpasterzy, którzy innym pomagali, gdzie były misye, to też i im się odwzajemniono. W Gołonogu wyspowiadało się około 3.000, w Ząbkowicach 2.000 dusz. Postawiwszy w Ząbkowicach przy budującym się, jeszcze nawet nietynkowanym kościele krzyż wieczorem dnia 10. sierpnia, i pożegnawszy się z parafianami, wróciliśmy rano nazajutrz do Gołonoga,

by i tu pracę zamknąć. Po przemowie ks. Mazurkiewicza powiedział znowu ks. Konarski przydłuższą alokucyę, kończąc ją pacierzem za Misyonarzy i gorącą modlitwą do św. Antoniego, który w tutejszym kościele od dawna wielkimi słynie cudami.

Strzemieszyce. Po południu tegoż dnia 11. sierpnia zaczęliśmy pracę w Strzemieszycach. Ks. proboszcz Konarski, tu znowu nas witając, wzywał parafian, by z misyi korzystali, raz po raz nawołując ich za Izajaszem: „Wstań, oświeć się, parafio moja!“ Kościółek zastaliśmy może tych rozmiarów jak nasz na Kleparzu, a osada ta liczy przeszło 12.000 dusz; obok szła robota nad powiększeniem świątyni. Już ta sama okoliczność, że kościółek za szczupły, wiele się przyczyniała do zdziczenia ludności tutejszej. Co się pobożniejszego zaplątało i przyszło do kościoła, nie mogło się pomieścić; latem zostawali za kościołem, a na wypadek słoty, lub zimową porą wcale nie chodzili. Zaczęła się misya; nazajutrz wypadło mi jechać do chorego na kolonię, bo się koniecznie chciał u Misyonarza spowiadać. Wracając od niego, spotykam całe masy ludzi spacerujących najobojętniej, a była to niedziela. Przypominam im, że w Strzemieszycach misya, proszę, żeby przyszli; jedni się zaczęli śmiać, inni mówili, że przyjdą, jak się namyślą. Trwała ta misya 8 dni, chodzili niby dosyć licznie, ale jednak sękate to jakieś serca. Najlepiej zapisali się w pamięci naszej koloniści na Niemcach. Mają tu kapliczkę maleńką, a obok niej jest obszerna sala do wypłat. Jedno od drugiego dzieli ściana, która się daje rozsunąć — i z sali robi się kaplica. Tu odprawiali księża ze Strzemieszyc nabożeństwa i tu słowo Boże głosili. Socyaliści, korzystając z tych zbiegowisk, postanowili do reszty lud tu się gromadzący zbałamucić. Ile razy przybył ksiądz z nauką, oni się wsuwali zgrabnie i obstępowali słuchaczy. Ksiądz skończył, ludzie się chcieli rozejść, nie pozwolili im, ale zmuszali, żeby zostać i słuchać wywodów socyalisty, który natychmiast po księdzu zaczynał swoje rozprawy. Podobna niespodzianka spotkała mnie tu po dwakroć. Jakoś w pierwszych dniach misyi

13. sierpnia przybyłem tu ze Strzemieszyc, zmówiłem z ludem litanię do Najświętszej Panny, a potem na żądanie robotników wyszedłem za kaplicę pod magazyn, żeby na świeżem powietrzu powiedzieć im naukę. Część słuchała spokojnie, inni czapki powkładali na głowy, palili papierosy i t. d. A kiedy im wspomniałem o gospodarzu ewangelicznym, który sługom talenta rozdawał, zaczęli krzyczeć: O! to niesprawiedliwie — i głupio! dawać jednemu 5, drugiemu 2, a trzeciemu tylko jeden talent!

Pytam ich na końcu, czym się im nie sprzykrzył, czy tu mam jeszcze kiedy przyjechać. Jedni mówili: „Owszem, prosimy Ojca duchownego", a inni wołali: „E! dosyć ta tych bajek, dosyć". Zaczął socyalik, jakiś podrostek, swoje wywody. Chodząc między chłopami, tłumaczę im, że im jawne głupstwa, niedorzeczności plecie, leplej, żeby się rozeszli. Na to mi dziewczęta powiadają, że co ja mówiłem, to są bajki, a ten panicz strasznie pięknie naucza, bo im obiecywał, że hrabiami będą, a jak się cara pozbędą, to ich będą brać do korony jednego po drugim. Odjechałem tym razem spokojnie, po moim odjeździe nadeszło wojsko i zbór ten rozpędziło. Odgrażali się socyaliści, że jak jeszcze raz się pokażę, to mi tak gładko nie pójdzie i z życiem nie wyjdę. Kazałem im powiedzieć, żeby tego nie robili, mieliby tylko kłopot, bo kto da na trumnę, kto o pogrzebie pomyśli. Wybrałem się po raz drugi 17. sierpnia. Zastałem narodu z 500 osób. Czas był pochmurny, chwilami deszcz kropił; dlatego nie mówiłem tym razem pod magazynem ale w kaplicy. Z początku słuchali dosyć spokojnie; po chwili zaczęli mruczeć i wychodzić z kaplicy socyaliści. Jeden rzucił butelkę na posadzkę i krzyczy: „W y c h o d z i ć z t e j k a p l i c y!" — Wszczął się popłoch: kobiety i dziewczęta myśląc, że to bomba, zaczęły się wspinać na okna i uciekać. Było kilka matek z niemowlętami na rękach. Coś z 5-ro dziatek zsiniałych od zgniecenia wyniesiono pod ścianę zakrystyi. Za chwilę uspokoili się, ja dalej zacząłem mówić. Znowu odzywa się ten sam głos, co poprzednio i woła: „W o j s k o i d z i e, w o j s k o!" A gdy i tem

nie dali się słuchacze popłoszyć, zebrało się jakie przeszło 100 socyalistów i wpadło do kaplicy ze śpiewem „Czerwony sztandar“ -- wtenczas musiałem ustać. Chcę wyjść, kobiety mnie obstąpiły, zaklinając, żebym się nie pokazywał za kaplicę, bo socyaliści stoją z kamieniami, chcą mnie bić. Ks. wizytator Słomiński, jadąc na poświęcenie wieży do Częstochowy, przywiózł nam nieco medalików cudownych. Te zabrałem tu na Niemcy, poświęciłem i zaczynam rozdawać. Socyaliści, słysząc brzęk medalików, zaczęli ludziom tłumaczyć, żem od rządu dostał 2 miliony rubli i te rozdaję; zaczęli też wyrywać z rąk ludziom medaliczki. Korzystając z zamieszania, wsiadłem na wózek i odjeżdżam. Pożegnali mnie okrzykami: „P r e c z z k l e c h ą, p i o r u n n i e c h w c i ę s t r z e l i! Rozniosło się to po całej okolicy, przybiegali ludzie z Gołonoga, Pogoni, Ząbkowic, bo niektórzy mówili im, że mnie naprawdę zabili. Te zajścia nieco rozbudziły drzemiącą tutejszą ludność; poczęto myśleć o tworzeniu kółek, związków katolickich. Czy i kiedy one przyjdą do skutku, to wielkie pytanie.

W niedzielę 19. sierpnia zakończyliśmy na nieszporach te krwawe zapasy postawieniem krzyża misyjnego. Nie można było nawet zwykłej procesyi z krzyżem odbyć, ja byłem zachrypły kompletnie; odczytałem tylko przepisane modlitwy i tak się krzyż zatknęło. Cała ta misya jakiś żałobny miała nastrój, to i koniec był podobny. Warto nadmienić, że się tu znalazł ofiarny luter, dyrektor fabryki na Niemcach, który podjął na siebie wszystkie koszta, chciano nas więc trzymać choćby i do św. Michała, zostaliśmy jednak przy swoim planie. Wyspowiadawszy około 6.000 dusz w czasie tej misyi, zaczęliśmy o powrocie myśleć. A było ciężko na sercu, bo kto wie, kiedy się znowu misyonarze w tym samym komplecie zbiorą. Ks. Mazurkiewicz wrócił stąd w swoje bukowińskie góry i lasy, ks. Szymbor na Kleparz, ks. Steinsdorfer z Tarnowa zajechał do Białego-kamienia, a ja do Jezierzan, skąd i te wyrazy piszę.

Jezierzany, dnia 13. października 1906.

Ks. Józef Sokołowicz,
n. k. Zgrom. Mis.

Wiązanka listów z Parany.

Prowincya polska w Paranie rozkwita coraz piękniej, bo też wzmagają się potrzeby religijne naszych kolonistów, którzy stanowią już $^1/_5$ w ogólnej liczbie 400.000 ludności. Polonia posiada obecnie w Paranie 7 kościołów murowanych, 5 drewnianych, kilkanaście kaplic, 16 księży rodaków i kilkanaście Sióstr (Rodzina Maryi i Siostry Miłosierdzia), kierujących trzema szkołami. To też zwraca się coraz baczniejszą uwagę na podnoszący się element polski; w ostatnich czasach zwiedzali nasze kolonie Nuncyusz z Petropolis, J. E. ks. Tonti i prezydent Republiki Alfonso Penna, informując się szczegółowo o lokalnych potrzebach. Niestety, pojawiają się już i w Paranie czynniki rozkładowe, jak n. p. schizmatycka działalność kapłana odstępcy, ks. Stankiewicza na Rio Claro. Od naszych Konfratrów dochodzą pocieszające wieści, tak z Thomaz Coelho jak z świeżo przyjętego Prudentopolis; dowiadujemy się także, że ks. biskup polecił nam obsługę osieroconej parafii w Abranches, aby nas tam wkrótce stale osadzić. Bliższe szczegóły informujące podają nam listy ks. ks. Konfratrów, które tu przytaczamy:

List ks. Superyora Bayera do Najczcigodniejszego ks. Wizytatora Słomińskiego. Thomaz-Coelho, dnia 24. lipca 1906. We wigilię odpustu św. Wincentego a Paulo, obchodzonego corocznie na Thomaz-Coelho z wielką okazałością, otrzymałem orędzie Przewielebnego ks. Wizytatora, donoszące nam miłą wiadomość, że granica Królestwa Polskiego otworzoną została dla polskich Ks. Ks. Misyonarzy na razie tylko do odbywania misyi. Modlitwy zalecane odprawiamy, chociaż może misye już ukończone, w tej intencyi, aby owoce misyi trwały jak najdłużej. Z temi modlitwami tem goręcej się łą-

czymy, bo i na nas tu w Paranie spadło trudne zadanie wyjechania do Rio-Claro, gdzie osiadł przed kilku tygodniami zasuspendowany ksiądz, niestety Poznańczyk, nazwiskiem Tadeusz Stankiewicz, lud zbałamucił, oderwał od prawowitego duszpasterza ks. Ludwika Przytarskiego i samozwańczo pełni wszystkie funkcye kapłańskie, stworzywszy kościół niezależny. Nie wiem komu wypadnie jechać z misyą zażegnania burzy i odwrócenia ludzi od intruza, może i na mnie samego, bo Najprzewielebniejszy ks. Biskup do mnie się zwrócił; w każżdym wypadku i my pomocy Bożej potrzebować będziemy, aby misya pożądany owoc przyniosła.

Wyjazd czterech księży Konfratrów na misye do Królestwa Polskiego i dalsze widoki, otwierające się w przyszłości w tej dzielnicy Polski, napełnia mnie obawą, czy też prośba, zaniesiona przeze mnie do Przewielebnego ks. Wizytatora przed dwoma tygodniami w sprawie objęcia nowego domu na Abranches, będzie uwzględnioną, dlatego chociaż czuję trudne warunki, jednak z naciskiem nastaję o wysłuchanie prośby wniesionej na ten tylko raz. W przyszłości nie tak prędko zdarzy się sposobność objęcia nowego domu; przynajmniej będziemy więcej przygotowani na niemożliwość obsadzenia i z góry zaznaczę trudności. Ale Abranches przyjąć trzeba. Dnia 28. lipca ja i ks. Kandora jedziemy na odpust św. Anny do Abranches, poczem ks. Kandora pozostanie tam jako tymczasowy administrator parafii aż do dalszego zarządzenia.

W Prudentopolis przyjęcie naszych księży było serdeczne ze strony wszystkich trzech narodowości Polaków, Niemców, Brazylian. Świadczy o tem list ks. Chylaszka, a także korespondencya w *Kompassie,* gazecie niemieckiej, umieszczona zapewne ze źródła niemieckiego. Tem lepiej i skuteczniej działać będą mogli, skoro na wstępie serca sobie podbili i ujęli.

Jak w ostatnim liście wzmiankowałem, tak rzeczywiście spotkał naszą kolonię i nas honor niemały, że nas nawiedzić raczył Nuncyusz Apostolski ks. Tonti, rezydujący w Petro-

polis. Do opisu tej wizyty, umieszczonego w *Gazecie polskiej*, dodam to jeszcze. Wizyta była zapowiedziana na kilka dni później tak, żeby można w niedzielę jeszcze ludowi zapowiedzieć i lepiej zarządzić; tymczasem ją przyspieszono i tylko jeden dzień czasu miałem na przystrojenie bram, szpaleru, kościoła, plebanii, a co najgorsza, do ogłoszenia po rozrzuconej kolonii wieści tak miłej i niespodziewanej. Dwóch konnych posłańców od rychłego rana wyjechało do wend i wszystkich szkół, aby dzieci szkolne rodzicom i sąsiadom rozpowiadały o przyjeździe dostojnych gości; — w roznoszeniu tej wieści dopomógł dużo pewien starosta weselny, który z panem młodym w dniu tym zapraszał wedle zwyczaju tu utrzymywanego uczestników wesela, a przy sposobności głosił o przyjeździe ks. Nuncyusza. Mimo tego wszystkiego nie zebrało się ludu tyle, jakbym się spodziewał, bo nie wszyscy się na czas dowiedzieli. Przyjęcie jednak wypadło wspaniale. Z powodu zajęć list doznał kilkudniowej przerwy. Jutro mam już jechać na Rio-Claro, nie mam czasu kończyć opisu wizyty — więc urywam, odkładając resztę aż do powrotu z Rio-Claro.

List ks. Chylaszka do ks. Superyora Bayera. Prudentopolis, dnia 9. lipca 1906. Kilka dni już bawimy w Prudentopolis, ale nie znalazłem ani chwilki czasu, by opisać pierwsze moje wrażenia z nowej siedziby. Dzień w dzień jesteśmy na wizytach, aż mi się to przykrzy — a tu jeszcze nie koniec. Przyjęcie nasze było naturalnie huczne i strojne. Wyjechał po nas na Rio dos Patos p. Lech swoim wózkiem, a wraz z nim cały zastęp na koniach Polaków, Niemców a nawet Brazylian. Fogiety i bomby odgrywały, rozumie się, swoją rolę. Wszyscy poprowadzili nas wprost na plebanię, a wieczorem była feta u p. Szkleniarza, na drugi dzień obiad u p. Lecha. Tak Niemcy jak Polacy i Brazylianie przyjmują nas na wizytach serdecznie, lecz osobliwie Polacy, którzy są zentuzyozmowani naszem przybyciem; Niemcy także wspominali nam o *Bruderschaft.* Nabożeństwo odprawia się prawie codzień w obydwóch kościołach. Niemiecki kościół zakrawa na



Kościół w polskiej kolonii Abranches (podług fotografii ks. Chylaszka z r. 1905).

coś ładnego, szkoda tylko, że ściany ma za słabe, bo na jedną cegłę tylko, można się obawiać, że sklepienia nie utrzymają. Obecnie już są mury wyprowadzone wysoko, ledwie nie pod sam dach.

Kościół polski wypadł prześlicznie, osobliwie wnętrze; wszyscy się nim zachwycają, winszują majstrom, Atanazemu i t. d. W kościele zastaliśmy wszystko gotowe do nabożeństwa, a więc ołtarz prowizoryczny, tabernaculum, lichtarze, obrusy, dywanik, konfesyonał, komodę na ornaty, klęcznik, umywalnię i t. d. Chęci u ludzi do dalszego uzupełniania kościoła bardzo dużo i ofiarności nie brak.

W domu nie mamy jeszcze żadnego porządku, bo wszystkiego brakuje, z wyjątkiem prowiantu, ale żądołki przynajmniej nie puste.

W niedzielę odprawiałem nabożeństwo w polskim kościele, ludu było dużo, wszyscy uniesieni nad miarę, ucieszeni, wróżący sobie spokojną i słodką przyszłość. Aż nagle wieczorem rozeszła się wieść, że ja odjeżdżam do Abranches. Wszystko naturalnie ogarnął płacz, dalej się zbierać w kupki i radzić. Uradzono, że żadną miarą nie pozwolą na mój wyjazd, choćby to duże pieniądze kosztować miało. Natychmiast gotowano telegramy do ks. Biskupa, ks. Superyora i p. Bieleckiego, a następnie listy, podpisy i t, p. Na szczęście przyszli jeszcze, choć godz. 9 wieczór, na plebanię upewnić się lepiej — i tu dopiero wstrzymaliśmy wszystko, uspokoili ich i obiecali, że nie wyjadę.

List ks. Superyora Mięsopusta do ks. Superyora Lewandowskiego. Prudentopolis, 21. lipca 1906. Jak mnie to Pan Bóg dziwnie w ostatnich latach zmienia: Kleparz, Stradom, Kleparz, Lucena, Prudentopolis. Ale wszędzie mi dobrze.

Przyjechaliśmy tutaj 5. lipca. Podróż była bardzo miłą. Towarzyszył nam z Thomaz-Coelho p. Lech, o którym wspominam w liście do ks. Wizytatora, człowiek nader miły, uniesiony radością, że jedziemy ratować i wspierać naszych rodaków w Prudentopolis. W Ponta Grossie odłączył się od nas, żeby najspieszniej stanąć w Prudentopolis i przygotować

ludzi na nasze przyjęcie. Trzy dni trwała nasza podróż: dzień koleją, a dwa dni omnibusem. Pierwszy i drugi dzień mieliśmy przed sobą same stepy; nigdzie żadnej żywej duszy, tylko tu i ówdzie sterczał jakiś domek biednego kabukla. Trzeci dzień już więcej był urozmaicony, bo zbliżały się kolonie włoskie lub polskie około Kupim. Gdy już blizko byliśmy naszego Prudentopolis, wyszliśmy trochę z omnibusu, a tu wychyla się z nad Rio dos Patos cały szereg jeźdźców i lekkich dwukołowych wózków. Następuje z niektórymi krótkie przywitanie i zaraz każą nam wsiadać do jednego z lekkich wózków, bo nas już z niecierpliwością oczekują. Za jakie 25 minut przejechaliśmy pięcio-kilometrową przestrzeń, ze wszystkich stron odezwały się fogiety i strzelby. Zajechaliśmy wprost do domu, który prowizorycznie będzie nam służył za mieszkanie, poki tu nie przyjadą Siostry.

W pierwszych dwóch tygodniach zajęci byliśmy samemi wizytami. Nasamprzód odwiedzaliśmy Polaków, a potem Niemców i Brazylian. Poznałem tu dziwnego człowieka pomiędzy Brazylianami. Jest bardzo pobożny, chodzi 3—4 razy do roku do spowiedzi. Gdy kogoś ukąsi żmija, idą wszyscy do niego i leczy ich zwykłą wodą i modlitwą. Od 18 lat nikt mu jeszcze nie umarł, chociażby ukąszenie było bardzo niebezpieczne.

Aby okazać naszym Polaczkom, że przyszliśmy koić ich serca, nie żałowaliśmy nawet trudu i do niektórych pieszo się wybraliśmy, choć mieszkali 3 do 5 km. od nas. Właśnie jedna fotografia przedstawia izbę kolonisty, w której zebrało się kilka rodzin polskich na nasze powitanie.

Ogromna mnie chęć bierze popracować w Rio-Claro, chociażby z jeden rok. Schismatyk, apostata, rożdziera tam dusze, a my się bać będziemy dostać kulą w głowę, lub oszczerstw *Polaka w Brazylii.*

Prudentopolis wydaje mi się najpiękniejszym ze wszystkich dotychczasowych domów, które mamy w Paranie. Kościół śliczny; obecnie w kościele wszystko prowizoryczne, potem będą ołtarze, balaski, ambona stylowo zrobione. Lud

miły i wdzięczny. Zaraz po naszym przyjeździe zażądano zwołania komitetu kościelnego, żeby uradzić nam utrzymanie. Zawotowali 5 milów, ale ja odpowiedziałem, że wystarczy tak, jak ksiądz ruski bierze, t. j. 4 mile.

List ks. Superyora Mięsopusta do Najczcigodniejszego ks. Wizytatora Słomińskiego. Prudentopolis, dnia 21. lipca 1906. Od trzech tygodni jestem z ks. Chylaszkiem w Prudentopolis. Miasteczko to piękne, choć małe, bo tu wogóle o miastach większych niema mowy. Blizko stąd płynie sławna rzeka Rio dos Patos (rzeka dzikich kaczek), którą znałem jeszcze ze szkół. Nie myślałem, że tu nad nią kiedyś będę pracował. Wczoraj urządziliśmy sobie wycieczkę nad jej najbliższy wodospad, 5 km. od nas oddalony. Jakiż to piękny widok przedstawia się oczom, gdy się patrzy na te spienione masy wód z hukiem gwałtownie na dół spadające. Oko wtenczas zadowolone, ale dusza odczuwa mimowolnie jakieś uczucie trwogi wobec tego ogromu i siły, jakie ma przed sobą. Zdjęliśmy nasamprzód z góry fotografię. Ale zaraz potem odezwały się głosy: „Jakto, a dalej już nie pójdziemy?“ Nie zważaliśmy na nic. Mówili nam ludzie: „Ale tam niema drogi, prowadzi tylko wązka ścieżka nad samemi przepaściami. — „Nie, pójdziemy, chcemy się przekonać, czyście prawdę mówili, że woda w rzece słona“.

Na dół szło się nam jeszcze jako tako; zwinnie przeskakiwało się piniorki na jeden metr grube, które wicher kiedyś był obalił; nad przepaściami trzymaliśmy się mocno drzew, trzciny, lub innych zarośli, ale z powrotem — ja omdlałem!

Drugi wodospad oddalony 24 klm. od Prudentopolis jest 80 m. wysoki.

Polacy są ogromnie uszczęśliwieni, żeśmy do nich przybyli. Trzeci rok upłynął obecnie, odkąd byli bez księdza i bez wszelkiej opieki. Smutek i przygnębienie ich opanowywało, kiedy widzieli, że tutejszy ksiądz ruski tak gorliwie pracuje około Rusinów i stara się dla nich i o czytelnię i o teatr i sam bierze udział w zabawie z nimi, a oni jak owce bez pasterza.

Teraz przynajmniej już lepsze nastąpiły czasy. Nie spełniły się proroctwa, że się tu Polacy nigdy nie doczekają osobnego kościoła — owszem, kościół stanął dzięki niesłychanej ofiarności ludu, a stanął piękny i wspaniały. Pierwszy to chyba nawet kościół z drzewa o sklepieniu stylowem. Architekt jego, ożeniony z Polką, córką oficera z ostatniego powstania, p. Rowińskiego, dumny jest z dzieła, które stworzył. Mimo że Niemcy i Brazylianie osobny tu mają kościół, p. Atanazy, twórca naszego kościoła, zawsze bywa u nas na nabożeństwie. Trzeba naturalnie hołd tu oddać ks. Chylaszkowi, który opracował plan najpiękniejszej części kościoła, t. j. sklepienia.

Widocznie Serce Jezusowe chciało mieć tę świątynię. Polacy walczyli z wielkiemi trudnościami; z jednej strony zniechęcały słowa, wypowiedziane kiedyś do nich przez osobę im nieżyczliwą: prędzej tu na dłoni włosy mi urosną, niż tu kościół polski stanie; z drugiej powątpiewali w własne siły, bo ich dawniej było do 600, a teraz dochodzą zaledwo do 350 rodzin, gdyż inne przeszły na ruskie.

Jak mimo tych trudności doszedł jednak do skutku kościół polski, pewnie wiadomo Przewielebnemu ks. Wizytatorowi z gazety p. Bieleckiego. Z wdzięczności ku Sercu Jezusowemu będzie ten kościół Jemu właśnie poświęcony. Obecnie już nam wolno w nim odprawiać nabożeństwa, ale poświęconym dopiero będzie wtenczas, gdy we wszystko zostanie zaopatrzony.

Ja odprawiam Mszę św. codziennie w kościele niemiecko-brazylijskim. Można powiedzieć, że to właściwie nie kościół, tylko najprostszy budynek drewniany, a około niego buduje się wielki, murowany kościół parafialny. Składają się nań głównie Niemcy, których liczą 17 rodzin i Brazylianie. Z tych może jeden, lub drugi coś daje, bo inni mało się troszczą o kościół. Są albo biedni, albo daleko mieszkają po lasach i dlatego nie odczuwają potrzeby kościoła.

Dotychczas mam w każdą niedzielę kazanie niemieckie. Powinienem na przemian głosić brazylijskie, ale na razie jest mi trudno.

Cieszył się Czcigodny ksiądz Superyor Lewandowski, że będziemy mogli robić tutaj także coś dla Indyan, jednak mało będziemy mieć sposobności, bo leżą już poza naszą sferą w parafii Guarapuawskiej. Kiedy niekiedy przyjdą tylko do nas, ale i to już będą Indyanie całkiem inni, którzy przyjęli wiarę katolicką i zwyczaje brazylijskie. Ot, w tę niedzielę będę dawał ślub takiemu Indyaninowi, otrzymawszy pozwolenie od proboszcza z Guarapuawy.

Z okazyi wzmianki o Indyanach przypominam sobie, co raz czytałem w niemieckim „Posłańcu Serca Jezusowego“ o dawniejszych miastach indyjskich. „Wszędzie ład i dostatek; miejsce zabobonnej religii zastąpiła wzniosła nauka Chrystusa Pana; w schludnej świątyni, zbudowanej z trwałego materyału, oddaje cześć Bogu prawdziwemu Indyanin na równi z Europejczykiem. Wyroby jego wzbudzają podziw znawcy. Wszystko to jednak zniszczyła mściwa i zazdrosna ręka“.

W prostym kierunku na północ od nas znajduje się miasto, do którego powyższe słowa również trzeba odnieść. Przed nieszczęśliwym dekretem portugalskiego ministra Pombala (1759), znoszącym zakon OO. Jezuitów, kwitło tam życie we wszystkich posiadłościach portugalskich, rozwijał się przemysł, wzmagał się dostatek ludu. Niektórzy już starali się tam dotrzeć i cuda opowiadają o tem, co tam widzieli. Na mapie jest ta miejscowość zaznaczona pod nazwą: Villa Rica t. j. bogate miasto. Podobno między innemi ma leżeć w gruzach wielki jakiś dzwon. Kilka mil od miasteczka znajduje się droga, wytyczona przez pierwszego inżyniera, który tam docierał, trudno byłoby jednak nią daleko się przedostać, bo jest zarosła, a do Willa-Riki od nas 50 mil.

Wrażenia robi na nas Prudentopolis nadzwyczaj dobre. Lud tu miły i szczery, prawdziwie galicyjski. Zachował on wszystkie przymioty, jakie wywiózł z pod Lwowa, Tarnopola i Żółkwi. Polacy są całkiem rozrzuceni pomiędzy Rusinami. Trudno ich dlatego skupić i zbudować im jakieś szkoły. Najpraktyczniejszą będzie w myśl pana konsula Okęckiego: założyć internat, skoro tylko przyjdą Siostry.

Zpośród innych cech występuje tu charakterystycznie jedność i zgoda. W miasteczku panuje nadzwyczajna towarzyskość. Co dziwna, nie występuje tu różnica między panem a chłopem, między wyższym a niższym.

Są tutaj także pomiędzy naszymi rodakami niektórzy, co zajmują wysokie urzędy, n. p. p. Lech, osoba bardzo wpływowa i dużo znacząca u prezydenta, p. Machady. Jest on poborcą kolonialnym (cobrador). Każdy, który otrzymał od rządu jakiś grunt (szakier), musi zań zapłacić należytość. Otóż właśnie p. Lech pobiera te opłaty. Posada jego jest bardzo intratna, to też prawie nigdy nie dochodzi do niej cudzoziemiec. Jeśli on ją otrzymał, zawdzięcza to wielkiemu wpływowi, jaki miał w tutejszych kołach rządowych p. konsul Bertoni. Drugą osobą wybitną jest powszechnie szanowany p. Kazimierz Brodziak, inżynier rządowy, znany ogólnie pod nazwą „pana Kazimierza“. Mamy trzeciego, dr. Łobosa, krewnego ś. p. ks. biskupa tarnowskiego. Wszyscy uważają się za równych.

Warto wspomnieć o jednym zwyczaju, jaki mają tutejsi mieszczanie, o t. zw. szurasku. Od czasu do czasu urządzają sobie ucztę, ale nie wiem, czy to po wschodniemu, czy iście po brazylijsku, bo pod gołem niebem. Naokoło wznoszą się butelki z piwem, którego tu nie brak, bo mamy aż dwa browary, a na ognisku piecze się kura, kaczka, lub wieprzak, skradziony jednemu z uczestników uczty. Właściciel szuraska, czyli pieczeni nic nie wie, że swoją rzecz zajada; dopiero na drugi dzień pytają go: no, a dobrze podchodziło szurasko. Poszkodowany się nie gniewa, bo tego figla na drugi raz innemu spłata.

Wkrótce dójdzie nasze miasto do wielkiego znaczenia. Przed tygodniem odbywały się w Guarapuawie wybory na radnych, a niezadługo przyjdzie nominacya na pierwszego burmistrza Prudentopolis. Kandydatów na to jest dwóch: Jeremias i Durski. Nie wiadomo, kto kogo zwycięży, bo każdy ma silne poparcie. Domyślają się jednak, że przejdzie p. Durski, niegdyś Polak, rodem z Warszawy, który jednak wskutek

otoczenia, w jakiem zawsze się znajdował i małżeństwa z Brazylianką, stracił poczucie narodowe.

Mamy wszyscy nadzieję, że niezadługo, może w roku przyszłym powitamy Przewielebnego księdza Wizytatora na ziemi brazylijskiej. Przekona się wtenczas naocznie, czem jest ten nasz nowy nabytek, że nie jest to zwyczajne miasteczko, któreby można lekceważyć. Nigdzie na kolonii wyjąwszy Rio Claro, gdzie obecnie schizma między Polakami się zakradła, niema tylu kościołów: przepyszna cerkiew, kosztująca około 30.000 milów, wspaniały kościół polski i kościół murowany, niemiecko-brazylijski. Obecnie będzie i magistrat. Już opowiadają, że domniemany burmistrz stworzy tu kapelę i zaprowadzi bruki. Gdzie możnaby na innych koloniach o czemś podobnem marzyć?

Wychyli się zaś człowiek do lasu, piszczą najrozmaitsze ptaszki, a zwłaszcza papugi, które tu się znajdują w rozmaitych gatunkach; nawet znachodzą się prześliczne arary, które w Krakowie można tylko w muzeum uniwersyteckiem oglądać. Są tu trojakiego rodzaju: czerwone, żółte i fioletowe.

Można sobie tu też życie osłodzić, bo na dalszych koloniach udaje się trzcina cukrowa; rośnie ryż i kawa. Praca w takiem otoczeniu nie tylko może być wydatną lecz nawet przyjemną.

List ks. Kandory do ks. Redaktora. Abranches, dnia 18. sierpnia 1906 r. Nowe nasze stanowisko w Abranches jest bardzo ważne, bo sama parafia jest bardzo wielka i zamożna, posiadając bogate kamieniołomy, wapień, mikę i liczne cegielnie. Położenie jest piękne tak, iż n. p. z plebanii widać dokładnie całą Kurytybę, odległą o 6 klm. Do parafii należy pokaźny szereg kolonii: centrum stanowi Abranches, mające 84 rodziny polskie, a każda z nich składa się z 15, najmniej z 10 członków; przychodzą też do naszego kościoła miejscowi Niemcy, Włosi i Brazylianie. Abranches otoczyły wkoło inne kolonie polskie w promieniu 3 mil; najdalej leży kolonia Bacatuba z 20 rodzinami, bliżej już Casihue z 10 rodzinami, Lamcuhia Mała, licząca 80 rodzin, Lamcuhia Wielka 115 ro-

dzin, Pilarsiuho 35 rodzin. Częściowo tylko sprawujemy duszpasterstwo w S. Venantio, Antonio Prado, Gabriela; tak jest przynajmniej nominalnie, w rzeczywistości zaś niemal wszyscy do naszego przychodzą kościoła.

Ludzie przywiązali się do Misyonarzy nad wyraz, dzieci nawet ciągle się pytały, kiedy przyjdę do szkoły. Dotąd byłem dopiero w dwóch szkołach, kiedy będziemy mieli konia, nie zapomnę i o najdalszej kolonii. Praca zapowiada się tu obfita, w święto Wniebowzięcia zawiązałem Stowarzyszenie Dzieci Maryi, w szkole zaprowadziłem dzieło św. Dziecięctwa. Pomagają dzielnie w tego rodzaju pracy nasze Siostry Miłosierdzia, a lud garnie się chętnie do wszystkiego.

Parafia ma piękną plebanię i kościół. Kiedy tu przybyli Polacy — niemal wszyscy ze Śląska i z Prus Zachodnich, odprawiano dla nich nabożeństwa w kaplicy brazylijskiej. Od r. 1875. do 1877. pracował tutaj ks. Maryan Giżyński, ale kronika parafialna nic o nim nie zanotowała. Po nim objął stanowisko ks. Władysław Grabowski. W księgach parafialnych czytamy o nim: „Gdy ks. Grabowski tutaj przybył, nie było nic zgoła przygotowane — ludzie więc, aby mieć księdza u siebie i nabożeństwa słuchać regularnie w niedziele i święta, musieli wybrać z pośród siebie kościelnych, którym powierzono staranie o wszystko, co było potrzebne do zaopatrzenie parafii na sposób polski. Zadanie tych kościelnych było bardzo trudne. Nie wahali się jednak, bo szło o chwałę Bożą i zbawienie dusz. Pierwszą potrzebą było nabycie ziemi i zbudowanie choć tymczasowego domku, bo ksiądz mieszkał tymczasem komornem". Po odjeździe ks. Grabowskiego 1880 r. objął zarząd parafii ks. Gurowski, obecnie członek klasztoru OO. Bernardynów w Tarnowie. Ten przystąpił zaraz do budowy wcale pięknej i wygodnej plebanii, otoczonej wkoło zabudowaniami gospodarskiemi, do których przylegają plebańskie pola i lasy. Ks. Gurowski wrócił do Europy 1891. roku, a jego miejsce zajął ks. Dziatkowiec, który tu działał przez 3 lata. Za jego czasów stanął tu kościół w przeciągu bardzo krótkiego czasu: 13. stycznia 1892. r. poświęcił kamień wę-

gielny wikaryusz generalny Alberto do Gonçales, a już w następnym roku ten sam Monsignor poświęcał nowo zbudowany kościół. Świątynia jest duża, jednonawowa o sklepieniu półokrągłem; w wielkim ołtarzu piękna figura św. Anny, ołtarze boczne jeszcze prowizoryczne. W kościele ustawiono dwa rzędy ławek wcale ładnych. W ostatnim czasie rozpoczęto budowę olbrzymiej stosunkowo wieży, myślimy też o sprowadzeniu z Europy nowych dzwonów.

Sprawozdanie z misyi w latach 1904/5 w Galicyi Wschodniej.

(Dokończenie).

Jasieniów polny. W czwartek po niedzieli 1-szej postu t. j. 16. marca pojechaliśmy z Horodenki do Jasieniowa, wsi do niej inkorporowanej. Jest tu kościółek drewniany, nie wielki. Liczba Polaków wynosi 900. Urządziliśmy triduum. Naród tu niedobry, zdemoralizowany, oddany przedewszystkiem nałogowi pijaństwa. Dziesięć karczem, to jakby 10 fortec tej nieszczęśliwej wioski. Zdaje mi się, że łaska Boża trafiła do tych serc dotychczas zimnych, zatwardziałych. Wszyscy się wyspowiadali i prawie wszyscy wyprzysięgli się wódki. Niektórzy wprawdzie wołali wśród płaczu i narzekania: „A szczoż ja budu pyty na wokazyi", ale i ci nareszcie pod krzyżem misyjnym zaprzysięgli trzeźwość, tem więcej, że gorliwy ks. proboszcz wyraźnie zapowiedział, że żadną miarą do świecy należeć nie może, kto się wódki nie wyrzecze. Wyspowiadaliśmy 500 osób. Pomagali nam w słuchaniu spowiedzi ks. ks. Bladowski, Guzek, Kruczkowski z Michaleza, OO. Bernardyni z Gwoździca, 2 księży ruskich z Horodenki, a nadto trochę ks. Kosiński, proboszcz ormiański z Horodenki. W Jasieniowie mieszkaliśmy we dworze u państwa Krzysztofowiczów, którzy staropolskim zwyczajem otwarli na oścież drzwi swego pałacu i przyjęli nas w swych komnatach jak braci rodzonych, powtarzając z radością: Gość w domu, Bóg w domu. Pożegnawszy się 21. marca z ks. proboszczem i Siostrami naszemi, pracującemi z zaparciem siebie przy szpitalu w Horodence, udaliśmy się na kolej, żeby rozpocząć nową pracę misyjną w Buczaczu.

Buczacz. Stanęliśmy tu 24. marca w trójkę: ja, ks. Domaradzki i ks. Kołodziej, któregośmy sobie w Kaczyce uprosili, przeczuwając, że tu będzie wielka praca. Ks. Truszkowski przybył dopiero na drugi dzień w nocy z Koropca, gdzie był pojechał zaprowadzić kanonicznie stacye drogi krzyżowej. *Viribus unitis* rozpoczęliśmy misye. Zdawało nam się, żeśmy między mazurami. Od rana olbrzymi kościół wypełniony po brzegi pobożnym ludem. Gorliwi duszpasterze snać bardzo tu pracowali, bo parafia tu niezwykle rozruszana. Ks. prałat, Stanisław Gromnicki, proboszcz buczacki, znany z gorliwości, pracuje z rzadkiem poświęceniem nad zbawieniem powierzonej sobie trzódki. Mimo licznej, bo 8.000 liczącej parafii, udziela się postronnym parafiom, głosząc słowo Boże na całem Podolu, już to w polskim już też w ruskim języku. Zwany złotoustym od ludu, bo też tak istotnie przemawia, porywając lud swoją swadą i wymową cudowną. Niema parafii, niema większej wioski, gdzieby ks. prałat z Buczacza nie przemawiał z ambony. Cześć mu za to! Potężny to obrońca naszej narodowości na zruszczonem Podolu, dzielny szermierz św. obrządku łacińskiego, co nie na rękę skłonnym ku Moskwie Rusinom. Jak niegdyś Hozyusza Wielkiego, biskupa i kardynała warmińskiego zwano młotem kacerzy, tak jego młotem Rusinów śmiało nazwać można.

Wyspowiadaliśmy przeszło 5.000 ludzi czysto łacińskiego obrządku, nie licząc w to Rusinów. Do bractwa św. trzeźwości przystąpiło wielu. Mieszkają tu w Buczaczu zakonnicy gr.-kat. św. Bazylego Wielkiego, gorliwi apostołowie rutenizmu, a przytem ziejący nienawiścią od dłuższego czasu do tego wszystkiego, co polskie, co łacińskie. Dowiedziawszy się, że w kościele łacińskim ma się odbyć misya, natychmiast urządzili w swojej cerkwi misye, aby tym sposobem Rusinów odciągnąć od kościoła, by przypadkiem na polskie nie poszli nauki i nabożeństwo. Naturalnie, że lud, nie będąc zawczasu powiadomionym o misyi w cerkwi, bardzo mały w niej brał udział, tem więcej, że cerkiew Bazyliańska nie jest parafialną, bo Rusini mają cerkiew św. Mikołaja i swego pasterza, więc

też niechętnie zaglądają do monasteru, gdzie ze zgorszeniem słyszą nieraz inwektywy na Polaków i na obrządek łaciński.

Parafia buczacka sięga dawnych czasów, bo roku 1401. Sławny Kaniowski na Potoku zbudował tu z czasem wspaniały kościół i cerkiew, podobnie jak w Potoku, w Horodence, Monasterzyskach, Tarnopolu i t. d.



Kościół i dom Ks. Ks. Misyonarzy w Witkowie.

Siódmego kwietnia zakończyliśmy dwutygodniową misyę, zdążając do Jezierzan na święta Wielkanocne i unosząc jak najlepsze z Buczacza wrażenie. Ks. ks. Domaradzki i Kołodziej byli łaskawi pojechać na kilka dni do Jezierzan, gdzie na nas czekało 2.000 ludzi ze spowiedzią Wielkanocną.

W Buczaczu pomagali nam ks. ks. Smoleński, Zaleśny, Skałuba, Scisłowski, Gwoździowski, Zjawnij, Kądzielewicz, Szerf, Kielar, Skwierczyński, Wawszczuk, a przedewszystkiem ks. Brzezicki, Jaworski, Zygmunt.

Po świętach Wielkanocnych odprawiliśmy misye *w Jaworowie* w dyecezyi Przemyskiej, *w Ujściu Zielonem* ad Monasterzyska, *w Czernelicy* i wszędzie z wielkiem powodzeniem i błogosławieństwem Boga. — Tych trzech misyi nie opisuję, gdyż notatki o nich zaginęły w podróży apostolskiej.

Ks. Fr. Buchhorn.
n. k. Z. M.

Ks. Maryan Apolinary Kamocki.

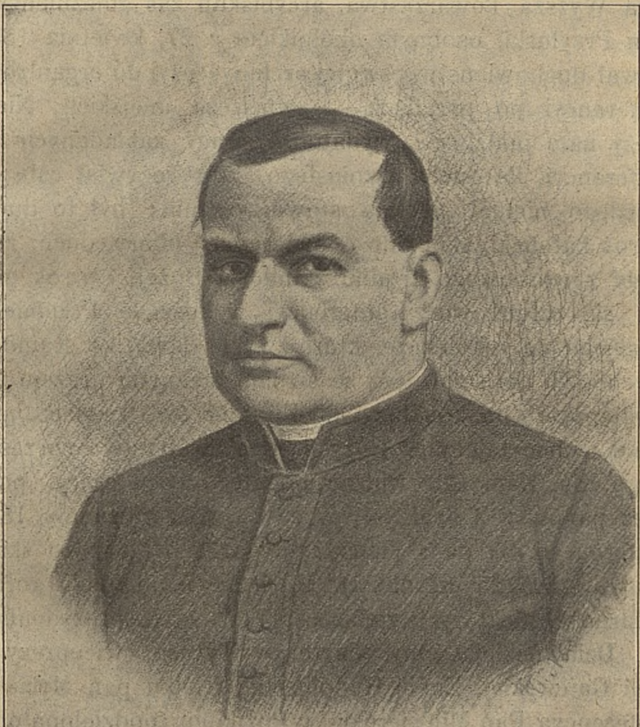
(Dokończenie).

Ksiądz Kamocki przyjeżdżał do Poznania, kiedy całe Wielkie Księstwo przebywało niebezpieczną wewnętrzną krysis, tem niebezpieczniejszą, że równocześnie szła z góry ostra represya wszelkich żywszych przejawów samodzielnego życia. Z jednej strony demokratyczna centralizacya wersalska osnuła Galicyę, Królestwo i Poznańskie siecią spisków, co już przed 25 laty tak drogo trzeba było opłacić, z drugiej strony próbowano cierpliwości narodu, zacieśniając coraz bardziej pęta, krępujące zdolność własnego rozwoju. Nastąpiła straszna dla Poznańskiego katastrofa 1846. r., która nie tylko sprowadziła na całą prowincyę srogie represalia, ale skaziła ducha narodowego, rzucając w łono społeczeństwa płonące zarzewie niezgody: lud prosty zaczął obwiniać panów, że sprawę sprzedali, pokazała się rysa, dzieląca jedno społeczeństwo na dwa wrogie obozy, owszem zdawało się, że pojawią się nowe różnice a z niemi nowe pęknięcia gmachu społecznego, który z trzaskiem rozsypie się w ruinę. „Oh! jakże i tu smutno, jak okropnie, pisał ks. Kamocki dnia 18. maja 1850. r. do ks. Adama Czartoryskiego w Paryżu — jakiż to straszny, przerażający upadek moralny w tych właśnie, którym się w niepojętej pysze wydaje, że swoją tak nazywaną „intelligencyą“ powołani są do przodkowania, do odrodzenia srożej jeszcze moralnie jak rzeczywiście upadłego kraju — tu oprócz kilku rodzin szlachetnych, oprócz ludu, który fałszywi przyjaciele jego przyspieszonym biegiem psują, wszystkie stany przejęte anarchią, że przestrach bierze obejrzeć się koło siebie, a gdyby nie ufność w miłosierdzie Boga, rozpacz by brała rzucić myślą w przyszłość“. Obraz niezawodnie malowany zbyt ciem-

18

nymi kolorami, bo w tym właśnie czasie już się rozpoczął stanowczy zwrot ku lepszemu. A najpierw na polu religijnem. Ks. Koźmian leczy w Poznaniu głowy polskie, zarażone antyreligijną filozofią; ks. ks. Prusinowski, Janiszewski, zjawiający się od czasu do czasu na ziemi poznańskiej ks. Karol Antoniewicz T. J. i szereg gorliwych proboszczów budzą z uśpienia ducha religijnego. Pracy kapłanów dopomagało grono szczerych katolików ze sfery arystokratycznej, jak n. p. Dezydery Chłapowski z Turwi, Chłapowski Stanisław z Czerwonej wsi, Morawscy z Luboni, rodzina Mycielskich, Łubieńskich i t. d. Pomyślano o potrzebach ludu, o podniesieniu jego dobrobytu i oświaty. Zanim jednak nastąpiła intenzywna praca w zakładaniu kółek rolniczych, towarzystw przemysłowych, spółek spożywczych, zbliżyli się do siebie po miastach i miasteczkach w imię chrześcijańskiej miłości przedstawiciele najmajętniejszych rodów i najbardziej opuszczonych, często całkiem zapomnianych biedaków: powstają w Poznańskiem pierwsze Konferencye św. Wincentego a Paulo, co się będą starały w duchu miłosierdzia Chrystusowego leczyć to, czego zaniedbała sprawiedliwość. Zbliżenie do siebie warstw społecznych miał przecież na celu twórca Konferencyi św. Wincentego, Ozanam, kiedy przystępował do wiekopomnego dzieła. „Codziennie — pisał on — rozszerza się rozbicie społeczne. Nie tyle opinia polityczna, co materyalne interesa rozdzielają ludzi; tu obóz bogatych, tam obóz ubogich, między obydwoma nienawiść nieprzejednana. Jeden pozostaje środek zbawczy: oto aby w imię miłości i miłosierdza stanęli chrześcijanie między dwoma obozami, przechodząc od jednych do drugich; niechby od możnych hojne wypraszali jałmużny, od ubogich żądając rezygnacyi i poddania; niechby ubogim nieśli obfite dary, bogatym rzewną i wymowną wdzięczność, zaszczepiając wygasłą w obu obozach miłość. Miłość ta stłumi obustronny egoizm, ostudzi wzajemną niechęć, aż w końcu przeciwne zjednoczą się obozy, wszyscy porzucą broń nienawiści i spotkają się w jednym uścisku, aby odtąd tworzyć jedną owczarnię pod jednym pasterzem".

Konferencya męska św. Wincentego, założona w Poznaniu 17. lutego 1850. r., zbliżyła się odrazu do Sióstr Miłosierdzia, powierzając im zarząd spiżarni, uwzględniała też specyalnie potrzeby tych biedaków, co w cichości, wstydząc się żebraczego kija, wyjawiali swoją niedolę jedynie odwie-



Ks. Maryan Apolinary Kamocki (według obrazu Nowosielskiego z r. 1842.).

dzającej ich Szarytce. Dzieje Towarzystwa św. Wincentego w Księstwie poznańskiem stanowiłyby znakomite tło, na któremby można nakreślić historyczny obraz tamtejszych Sióstr Miłosierdzia: z jednej strony domy siostrzeńskie były przytułkiem dla nędzarzy, odszukanych przez członków Towarzystwa gdzieś po strychach lub piwnicznych mieszkaniach bez

kawałka chleba, bez lekarstwa w chorobie, w rozgoryczeniu na wszystkich i na wszystko; z drugiej strony zdarzało się, że panowie z Konferencyi zawięzywali ściślejszy Komitet, aby ufundować nowy dom dla córek św. Wincentego. W pięć lat po założeniu pierwszej Konferencyi powstała w Poznaniu Rada Wyższa Towarzystwa, arcybiskup zaś gnieźnieński, ks. Leon Przyłuski, osobnym okólnikiem z 27. kwietnia 1855. r. wezwał duchowieństwo swojej archidyecezyi do organizowania Konferencyi po parafiach — zwłaszcza miejskich. Nie tyle należy nam podziwiać wydatność pracy zakładanych licznie Konferencyi, ile ducha wzniosłego, który ożywiał całe dzieło i każdego niemal członka stowarzyszenia; był to duch na wskroś katolicki, skory do poświęcenia i ofiary, duch, zaczerpnięty z właściwego źródła: z miłości Bożej. Co rok gromadzili się członkowie Konferencyi w kościele Przemienienia Pańskiego na rekolekcye, które zwykle dawał ks. Kamocki — przychodzili nie sami, lecz ze swoimi biednymi i razem z nimi przystępowali na konkluzyi do Komunii św., zaznaczając wyraźnie wobec tajemnic Bożych ideę braterstwa chrześcijańskiego. Ks. Kamocki, widząc bogate owoce pracy, podjętej przez panów z Towarzystwa, zawiązał w Poznaniu 1853. r. Konferencyę dla pań; chociaż zawiązek był bardzo skromny co do liczby (25 członków), to liczbę uzupełniała gorliwość i ofiarność niektórych zwłaszcza pań, n. p. prezydentki Cecylii Działyńskiej, żony sławnego Tytusa, wiceprezydentki Adeli Gajewskiej, Emilii Radolińskiej i kilku pań Mycielskich. Konferencya Pań Miłosierdzia w Poznaniu (podzielona obecnie na pięć) należy dzisiaj niezawodnie do najwybitniejszych i najgorliwszych zwłaszcza, odkąd nabrała cechy więcej demokratycznej, przezco podniosła się liczba członków do przeszło 500 i ogarnęła swoją działalnością wszelki rodzaj nędzy materyalnej i moralnej. *Deus incrementum dedit,* Pan Bóg nadał wzrost tej roślinie, bo widocznie założyciel, ks. Kamocki, *plantavit* — zaszczepił ją wedle myśli Bożej i tchnął w dzieło przy samych jego urodzinach ducha św. Wincentego. Ks. Kamocki był u kolebki męskiego Towarzystwa św. Win-

centego i ogrzewał je nieraz ciepłem swego słowa, Konferencye Pań w Poznaniu sam stworzył, zorganizował i wprowadził w blizki związek ze Zgromadzeniem Sióstr Miłosierdzia, które wtenczas zaczęły tworzyć nową prowincyę poznańską, bo przewroty polityczne wpłynęły także przekształcająco na losy obydwu Rodzin św. Wincentego.

Rozbicie Polski na trzy części musiało także sprowadzić zmianę w organizacyi Sióstr Miłosierdzia, podległych dotychczas na całym obszarze ziem Rzeczypospolitej jednej wizytatorce w Warszawie. Kiedy pierwszy traktat rozbiorowy przydzielił Galicyę berłu Habsburgów, utworzono w niej osobną prowincyę Sióstr Miłosierdzia z domem centralnym we Lwowie. Pod zaborem pruskim był tylko jeden dom w Chełmnie, fundowany 1694. przez biskupa, ks. Szczukę; dopiero w roku 1822. sprowadziła córki świętego Wincentego ciotka Fryderyka Wilhelma III., księżna Antoniowa Radziwiłłowa, do szpitala prowincyonalnego przy kościele Przemienienia Pańskiego w Poznaniu.

Dwa domy z 11 Siostrami stanowiły wysepki całkiem odosobnione, odkąd wszelką komunikacyę z Warszawą przecięły ukazy carskie, najeżywszy granicę żołnierskimi bagnetami. Dwie Siostry, zbiegłe 1844. r. z Wilna przed prześladowaniem Mikołaja I., zobaczywszy osierocenie poznańskiego domu, doniosły tę smutną wieść do Paryża, w następnym zaś roku zwróciła się przełożona, Siostra Filipina Studzińska, do ks. Etienne z prośbą o rychłą pomoc, inaczej obydwa domy pod zaborem pruskim uschną i zginą, jak gałązki od pnia oderwane. Trzeba jednak było czekać jeszcze dwa lata, dopóki się nie uspokoiły spiętrzone fale ruchu wolnościowego, który wtenczas ogarnął całą Europą, sięgając aż do podstaw organizmów państwowych. W tych stosunkach niemożliwością było dla cudzoziemca przedostać się do obcego państwa, ażeby dokonać jakiejkolwiek pracy organizacyjnej. Dopiero 1848. roku zjeżdża ks. Kamocki a za nim kilkanaście Sióstr z Francyi, aby zasilić gasnące już niemal życie w dwóch domach pod pruskim zaborem.

Pracy im nie zabrakło, bo dostarczała jej coraz więcej straszna cholera, która w latach 1848/9. dziesiątkowała ludność w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. „Pamiętne — pisze naoczny świadek, ks. Brzeziński [1]) — są te lata w Wielkopolsce z ciężkiej cholery, która wszystkie jej prawie miasta i wioski nawiedziła. Kto z nas kapłanów przeżył w swojej parafii straszne chwile tego nawiedzenia Bożego, ten niezawodnie przypomina sob e, jak wierny nasz lud kochany, cisnął się i tulił do serc swych pasterzy, ażeby brać z nich pociechę i na śmierć pewną wziąć ostatnie błogosławieństwo. Konfesyonały po kościołach były od rana aż do zmierzchu jakby w oblężeniu, a serca, plagą Bożą skruszone, łzami szczerej pokuty się zalewały. Był to czas siejby i żniw obfitych". Jak w Poznańskiem cholera, tak tyfus na Śląsku zabrał ojca niejednej rodzinie, gdzieindziej z całej familii zostało tylko dziecko — sierota, nad którem trzeba było roztoczyć jakąś opiekę. Przez choroby i klęski publiczne już nieraz otwierał Pan Bóg córkom św. Wincentego nowe domy, nawet całe prowincye, bo ich egzystencya związana z niedolą ludzką, leczenie cierpienia zadaniem życia. Podobne były urodziny nowej, odrębnej prowincyi poznańskiej [2]). W Poznaniu na Śródce powstało w grudniu 1848. r. przytulisko dla sierót po cholerycznych pod wezwaniem św. Wincentego z inicyatywy komitetu, w którego skład wchodzili: ks. Aleksy Prusinowski, ks. Józef Brzeziński, hr. Maciej Mielżyński i dr. Malecki. Ze składek obywatelskich miano utrzymać 100 dzieci i 4 Siostry Miłosierdzia, powołane do administracyi zakładu. W tym samym roku zawezwał Szarytki rząd pruski do Raciborza na Śląsku, gdzie zbudowano dom dla sierót po zmarłych na tyfus rodzicach; pięć Sióstr pracowało na tem stanowisku widocznie z poświęceniem, skoro w r. 1850. popro-

---

[1]) Ks. Antoni Brzeziński: „Żywot ks. Kidaszewskiego. Poznań 1864, str. 166/7".

[2]) Bliższe szczegóły o domach Sióstr Miłosierdzia czerpałem z notatek prywatnych, łaskawie mi udzielonych przez S. P. Wężyk z Tenczynka.

szono jeszcze o 3 Siostry do szpitala miejskiego i odwiedzania w mieście biednych chorych. Dla sierót po tyfusowych otwarto na Śląsku drugi dom w Rudzie, w Bytomiu zaś oddano Siostrom szpital miejski i zlecono pieczę nad opuszczonymi chorymi w mieście. Równocześnie powstają w Poznańskiem nowe fundacye prawie wyłącznie od osób prywatnych. W Gostyniu Stanisław Chłapowski, Gustaw Potworowski i Kajetan Morawski, zakupiwszy dawne kasyno, przebudowali je 1849. r. na szpital i oddali Siostrom, które, chociaż tylko w liczbie 4, pielęgnowały nadto chorych w ich własnych mieszkaniach, opiekowały się 50 sierotami i zajmowały się przychodnią dziatwą w ochronie. W tym samym roku ofiarowała panna Adela Gajewska nowy dom w Wolsztynie, gdzie 5 Sióstr miało kierować ochronką, szwalnią, sierotami w liczbie 50, odwiedzać chorych i leczyć w własnym szpitalu, o ile miejsca wystarczy. Uderzająco szczupłą jest liczba Szarytek, wyznaczanych na poszczególne posterunki, pomimo, że różnorodność zajęć rozstrzelała siły; niezwykła tylko gorliwość mogła chyba wszystkiemu podołać.

Ks. Kamocki, potwierdzony obecnie na stanowisku dyrektora rozwijającej się w przyspieszonem tempie prowincyi, znalazł znaczną pomoc, kiedy pierwszą wizytatorką zamianowano z Paryża Siostrę Filipinę Studzińską. Poznański *Tygodnik katolicki* pisze o niej, że ukończywszy kursa farmaceutyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, otrzymała od komisyi egzaminacyjnej rządowy patent aptekarski, poczem pracowała gorliwie w poznańskim szpitalu Przemienienia Pańskiego. Otrzymawszy nominacyę na wizytatorkę, poświęciła wszystkie swe siły dla dobra prowincyi, starając się wraz z ks. Kamockim o zaszczepienie w sercach Sióstr bezgranicznej ofiarności. Ponieważ nie było jeszcze osobnego Seminaryum dla prowincyi, wysyłano kandydatki do Paryża, ażeby zaczerpnęły u źródła ducha św. Wincentego, a potem niosły pomoc maluczkim i biednym ziemi poznańskiej. Powołania do Zgromadzenia były liczne, stąd można było przyjmować nowo ofiarowane domy. Powstałe wtenczas w Poznaniu Towarzy-

stwo Pań Miłosierdzia, zająwszy się ochronką parafii św. Marcina, oddało ją pod kierownictwo Siostry Miłosierdzia, dochodzącej z głównego domu do najętego lokalu. Jeszcze w tym samym roku (1853) wynajęto inną salę, gdzie druga Siostra zaczęła starsze dziewczęta wprawiać do ręcznych robót; wreszcie, kiedy Panie poprosiły o trzecią Szarytkę do odwiedzania chorych i utrzymywania magazynu Konferencyi, zakupiła Siostra Seweryna Morawska kamienicę przy ulicy św. Piotra i tak powstał parafialny „Dom Miłosierdzia“ pod opieką św. Józefa. Dom ten odtąd ściśle wiąże się z działalnością Towarzystwa Pań Miłosierdzia [1]).

W Gnieźnie regens seminaryum, ks. Duliński, ks. Błaszkiewicz, hr. Franciszek Żółtowski i Aniela z Toporowskich Koszutska, zbudowali dom św. Wojciecha i poprosili doń o 6 Sióstr Miłosierdzia. W Kórniku, sławny ze swej naukowej i dobroczynnej działalności, Tytus hr. Działyński ofiarował Zgromadzeniu 1857. r. dom Niepokalanego Poczęcia, skąd cztery Siostry miały odwiedzać chorych po okolicznych wioskach, u siebie zaś utrzymywać szpital, kierować szwalnią i ochronką.

W dyecezyi warmińskiej wprowadzono Szarytki do dwóch miejscowości; do Olsztyna powołał je Komitet panów z Konferencyi św. Wincentego, do Heilsberga ks. biskup Geritz. Fundacya heilsberska była najbogatszą ze wszystkich, bo za pozwoleniem Rzymu przebudowano dawny pałac książęco-biskupi i oddano Szarytkom, aby doń przyjmowały z całej dyecezyi zgłaszających się chorych i sieroty obojej płci. Nominalna liczba chorych wynosiła 100, sierot 300, do opieki nad niemi wyznaczono 16 Sióstr Miłosierdzia.

Współcześnie powstawały pomniejsze fundacye. W r. 1859. zakupił w Wągrowcu proboszcz, ks. Mustolf, kamienicę i zapewnił fundusz na 3 Siostry, nie określając im bliżej rodzaju pracy; w Środzie stanął 1860. r. za staraniem hr. Grudzińskiego nowy dom, przeznaczony na szpital, ochronę i szwalnię.

---

[1]) Cfr. Roczniki r. XI. Nr. 3.

Do Pelplina zawezwał córki św. Wincentego po raz pierwszy biskup chełmiński, ks. Marwicz, zlecając im pieczę materyalną nad wychowankami „Collegium Marianum“. Drugi dom w Pelplinie fundował sufragan chełmiński, ks. Jerzy Jeschke. Dom ten św. Józefa znany był i lubiany w całej okolicy; urządzono w nim wzorową szkołę dla dzieci domowych i przychodnich, kierowano umiejętnie ochronką i pielęgnowano chorych. Ks. biskup jak kwestarz bernardyński z dawnych, dobrych, polskich czasów jeździł do sąsiednich miejscowości, zbierając dla Sióstr jałmużnę zarówno w pieniądzach jak *in natura;* ponieważ tak dostojnemu kwestarzowi trudno było odmówić, chowało się wielu, zobaczywszy kwestarski wózek, lecz często bezskutecznie, bo ks. biskup Jeschke z kryjówki płoszył i jałmużnę wybierał.

W Lubawie obok kaplicy św. Barbary, zbudowanej jeszcze za czasów krzyżackich dla zamieszkałych w mieście Niemców, ugrupował się z biegiem lat dość duży kompleks budynków, pochodzący z fundacyi różnych biskupów i kanoników, którzy tu chcieli zasłużonym obywatelom zapewnić utrzymanie w razie choroby, kalectwa lub starości. W r. 1861. zmieniono i rozszerzono cel fundacyi za zgodą Stolicy Apostolskiej, urządzając wzorową szkołę, ochronę i przytulisko dla sierot; nie pominięto też i zasłużonych starców, *panis bene merentium* utrzymał się nadal.

Pracy ks. Kamockiego towarzyszyło widocznie błogosławieństwo Boże, skoro w przeciągu 15-letniej jego dyrekcyi powstało 17 nowych domów, a liczba Sióstr podniosła się z 11 do 123. Między powołanemi do Zgromadzenia znalazła się i córka ks. Kamockiego, która miała zaledwie 3 miesiące, kiedy ją ojciec po raz ostatni pożegnał, ruszając do powstańczych szeregów z 1830. r.

Wzrastała wprawdzie w liczbę jedna Rodzina św. Wincentego, ale z drugiej zostały zaledwie szczątki, ślady. Każdy podział Polski był ciosem dla Zgromadzenia, bo rozrywano jakby braci jednej rodziny, oddzielano pojedyńcze domy od centrum, od Warszawy, skąd płynęło życie na całą prowincyę.

Po ogłoszeniu konfiskaty dóbr zakonnych pod zaborem pruskim, zdołało się Zgromadzenie jeszcze utrzymać przy Seminaryach chełmińskiem i poznańskiem do r. 1825., na parafiach do r. 1836., kiedy rząd wydał edykt kasacyjny. Jedni z księży wyjechali wtenczas do Warszawy, drudzy do prowincyi austryackiej, reszta osiadła na parafiach. Do ostatnich należał między innymi ks. Jan Dąbrowski, późniejszy biskup-sufragan poznański, który 1845. r. wyjednał sobie u ks. Etienne przywilej, że się mógł nadal uważać za członka Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy; Pan Bóg udzielił mu też łaski, że osamotniony niemal w ostatnich dniach życia, skonał na przyjaznej, braterskiej piersi ks. Kamockiego. Dwóch tylko Misyonarzy nie opuściło ani Zgromadzenia ani dawnego pola pracy. W Chełmnie został jeden starzec jako spowiednik Sióstr i administrator kościółka, zbudowanego niegdyś w naszej parafii; w Poznaniu ks. Grendziński zamieszkał w domu Przemienia Pańskiego jako kapelan szpitala. Było to życie wygnańców bez własnego dachu nad głową. Przyjazd ks. Kamockiego niczego nie zmienił: pracował już od kilku lat w Poznaniu, otrzymał do pomocy z Kolonii ks. Stroewera, a nie marzył nawet o zakładaniu nowego domu Zgromadzenia; pomyślał o tem sam Pan Bóg, powołując 1852. roku hr. Elżbietę Mycielską do Sióstr Miłosierdzia.

Rodzina Mycielskich należała w Poznańskiem do tych, dla których poświęcenie było najdroższym przywilejem. Ludwik Mycielski na pierwszy strzał listopadowego powstania porzucił żonę i pięcioro drobnych dziatek, wchodząc jako ochotnik do czwartego pułku piechoty; ranny pod Grochowem dwa razy kartaczem, raz z karabinu, padł wreszcie trupem od kuli działowej. Owdowiała żona, Elżbieta z Mielżyńskich, miała dwoje ze swoich dzieci złożyć Panu Bogu w ofierze całopalnej: Syn Michał Mycielski, to sławny w zakonie OO. Je-Jezuitów propagator kultu Najświętszego Serca Jezusowego, najmłodsza zaś z córek poczuła powołanie do Sióstr Miłosierdzia. Siostra Mycielska, ukochawszy całą siłą młodzieńczej duszy pracę nad biednymi, pragnęła dołączyć nowy czynnik

do tych dzieł św. Wincentego, które na ziemi poznańskiej odrazu tak bujnym strzeliły kwiatem, pragnęła wszystko poświęcić, żeby obok Konferencyi i Sióstr Miłosierdzia rozwinęli swoją działalność i Ks. Ks. Misyonarze. Gdy Pan Bóg po cztero-letniej zaledwie pracy powołał do siebie Siostrę Mycielską, otwarto jej testament, w którym cały majątek przekazywała wizytatorce, Siostrze Studzińskiej, z poleceniem, żeby go użyła wyłącznie na fundacyę domu Ks. Ks. Misyonarzy. Zapis ten był w owych czasach stosunkowo znaczny, na początek zupełnie wystarczający: 11.000 talarów na dobrach Spławice, 5.000 talarów na Punicach. Ponieważ egzekucya testamentu się przewlekała, zakupiła 1858. r. Siostra Cecylia Łempicka dom na Rybakach za 10.000 talarów, z których połowę wypłaciła natychmiast z własnego majątku, zastrzegając sobie 5-ty procent od tej sumy. Pierwszy krok zrobiono, reszty dokonała życzliwość Siostry Studzińskiej i starania ks. Kamockiego: na życzenie wizytatorki pospieszyły wszystkie domy Siostrzeńskie z ofiarami, na jakie się tylko mogły zdobyć, ks. Kamocki zaś zyskał od Pań Miłosierdzia na urządzenie kaplicy dość znaczną sumę, nie licząc już podarunków w kielichach, ornatach i t. d. W dzień św. Jana Kantego 1858. r. poświęcił ks. arcybiskup Leon Przyłuski kaplicę i dom, wprowadzając doń dwóch księży: Kamockiego i Stroewera. Ks. Grendzińskiego już od dłuższego czasu przykuła do łoża ciężka choroba; oczekiwał on z tęsknotą dnia, kiedy w Poznaniu stanie nowy dom Zgromadzenia, modlił się ze łzami w oczach do Boga, żeby mu pozwolił doczekać poświęcenia kaplicy. Kilkakrotne silne ataki paraliżu zdawały się wykluczać wszelką nadzieję, a jednak Pan Bóg spełnił prośbę dogorywającego Misyonarza. Wprawdzie nie mógł ks. Grendziński wziąć udziału w uroczystości poświęcenia, ale czekał cierpliwie na wieść o dokonanym akcie. Gdy dwaj Konfratrzy wbiegli do niego po ukończeniu ceremonii, prosząc o błogosławieństwo, zebrał czcigodny starzec resztki sił, skierował w niebo zwilżone oczy i podniósłszy krzepnącą już rękę, wyrzekł: *Benedicat vos Omnipotens Deus* — przer-

wał, nie mógł już dokończyć, począł konać, poszedł do Boga uzupełnić modlitwą niedokończone błogosławieństwo. Rzewne to i wzruszające do głębi powtórzenie biblijnego *Nunc dimittis;* rzewnym także jest ton, w jakim ktoś rozpoczął kronikę nowego domu w Poznaniu, spodziewając się, że będzie zaczątkiem całej prowincyi. „Myśli wasze nie są myślami mojemi — to słowo Pisma św. mimowoli nasuwa się pamięci, patrząc na zmartwychwstające na tym skrawku polskiej ziemi Zgromadzenie Misyi. Kiedy w 1825. r. opuszczać musieli synowie św. Wincentego seminarya w obu archidyecezyach zostające... kto byłby pomyślał, kto byłby mógł przewidzieć, że przyjdzie jeszcze dzień, w którym to Zgromadzenie znów będzie miało swój kącik, swoje miejsce schronienia".

Można twierdzić, że powstanie nowego domu Ks. Ks. Misyonarzy było po większej części zasługą Siostry Mycielskiej, można utrzymywać, że okoliczności zewnętrzne sprzyjały rozwojowi Konferencyi Pań i nowej prowincyi Sióstr Miłosierdzia, ale nie da się zaprzeczyć, że owoce wszystkich tych dzieł wychodował ks. Kamocki. On także wyrównał znaczny dług, jaki prowincya polska Sióstr zaciągnęła względem swego św. Założyciela. Dotąd bowiem nie posiadały Siostry Miłosierdzia polskiego wydania reguł, karmiły się okruchami nauk św. Wincentego w lichych, ułamkowych przekładach niektórych Konferencyi. Ks. Kamocki postarał się o poprawny przekład książki ślubów i t. zw. „Zwyczajnika", przetłómaczono również Konferencye św. Wincentego do Sióstr Miłosierdzia i wydano 1856. r. w 100 egzemplarzach, nakładem Siostry Kamockiej, w 8 lat później wyszły Konferencye św. Wincentego do Ks. Ks. Misyonarzy, dotychczas jeszcze wyłącznie u nas używane. Na prośbę także ks. Kamockiego dokonały Panie Miłosierdzia przekładu dwu bardzo pięknych dzieł: pani Morawska przetłómaczyła „Ducha św. Wincentego", Emilia Radolińska „Przewodnik grzeszników" św. Ludwika z Grenady.

Niezupełnym byłby obraz działalności ks. Kamockiego, gdyby pominięto, że on zainicyował w Wielkopolsce intenzywny kult Matki Boskiej przez zaprowadzenie nabożeństwa

majowego i Stowarzyszenia Dzieci Maryi, Korzystając z licznego napływu wiernych do Kościoła Przemienienia Pańskiego w Poznaniu, rozpoczął tam po raz pierwszy nieznane jeszcze w tej dzielnicy Polski nabożeństwo majowe. Dziwna rzecz, że emigracya, która rzucała coraz nowy ferment w łono ludności galicyjskiej i poznańskiej, podała jej także kojący balsam na wszystkie rany. Dwaj emigranci po r. 1831., dwaj przyjaciele nawet wprowadzają do Polski ten piękny, urokiem poezyi owiany zwyczaj święcenia całego maja ku czci Matki Boskiej. Walery Wielogłowski ślubował kiedyś u OO. Augustyanów w Rzymie podczas odprawiającego się tam właśnie nabożeństwa majowego, że je zaprowadzi i rozszerzy w swojej ojczyźnie, jeżeli tylko do niej wróci i wyzdrowieje konająca jego córka; córka wyzdrowiała cudownie w tej samej prawie chwili, pan Walery wrócił 1848. r. do kraju, a już 1849. r. odprawiło się za jego staraniem pierwsze nabożeństwo majowe w kościele Panny Maryi w Krakowie. Z grodu podwawelskiego rozeszło się razem z odpowiednią książką Wielogłowskiego nabożeństwo majowe po wszystkich miastach i siołach galicyjskich, wszędzie, gdzie polskie serca drgały miłością ku Niebios Królowej. Ks. Kamocki, sam uratowany za wstawiennictwem cudownej Matki Boskiej w Będkowie, niemniej okazał wdzięczności. Dotychczas w gnieźnieńskiej archikatedrze modlił się w uciskach lud wielkopolski, śpiewając w niebo „Bogu Rodzicę“, ale ta pieśń, rozbrzmiewająca kiedyś jako pean narodowy podczas zwycięskich bojów, do smutku nastraja, wypełniając duszę żałobnem wspomnieniem, ta pieśń dobra jest, gdy się trzeba wypłakać przed Niebios Królową. Ma jednak ten lud także swe słoneczne chwile i radosne nastroje; wtedy mu trzeba Matki Boskiej, coby jako „Gwiazda Zaranna“ zaniosła swojemu Synowi te szczęścia polskiego serca. Takie, pełne pogody nabożeństwo do Matki Bożej począł nad Wartą głosić ks. Kamocki, zbierając przez cały maj lud poznański, żeby apostrofami litanii kołatać do Serca Niepokalanej Dziewicy, rzucać na jej ołtarze garście kwiatów i zieleni. Z Poznania rozeszło

się nabożeństwo majowe po całej Wielkopolsce. Kamocki zdziałał jeszcze więcej. Poznał w Paryżu gorliwego czciciela Najśw. Maryi Panny, ks. Aladel, powiernika Siostry Labouré, oglądał tam zawiązujące się świeżo stowarzyszenie Dzieci Maryi; korzystając teraz ze swego stanowiska, przeszczepił to dzieło do Poznańskiego, wprowadzając je do wszystkich domów siostrzeńskich, które przez to stały się ogniskami żywego kultu maryańskiego, źródłami, z których płynął na okolicę prąd, niosący w swem łonie cześć Bogarodzicy. Nabożeństwo majowe i stowarzyszenie Dzieci Maryi — to najpiękniejsze pamiątki, jakie ks. Kamocki zostawił po sobie nad Wartą; zniknął tam już dawno dom Ks. Ks. Misyonarzy, zatarła się znacznie w pamięci postać ks. Maryana, ale te dwa dzieła, da Bóg, przetrwają wszystkie burze!

Działalność ks. Kamockiego przerwały nagle w r. 1863. bolesne wypadki, zmuszające go do pożegnania na zawsze tej ziemi, dla której przez tyle lat poświęcał najlepsze swoje siły, w którą rzucił tyle zdrowego ziarna; kiedy z posiewu miały wyrastać bujne plony, trzeba było na zawsze rozstać się z tem wszystkiem, co się po Bogu najwięcej ukochało *Immolor* mógł po raz trzeci w swem życiu powiedzieć za św. Pawłem ks. Kamocki, a miał dosyć mocy, ażeby dodać zwycięzkie *sed gaudeo,* ale się raduję. W znacznej ilości listów ks. Maryana, pisanych bezpośrednio po wyjezdzie z Wielkiego Księstwa, nie znalazł piszący ani jednej skargi, tylko wyrazy błogosławieństwa i poddanie się woli Bożej. Generał, ks. Etienne, powitał w Paryżu swego „kochanego syna“ z równie ojcowskiem uczuciem, z jakiem go kiedyś przyjął do seminaryum; wyznaczył mu stanowisko prokuratora w pięknem, wzorowo prowadzonem kolegium w Montdidier. Przełożonym tego domu był ks. Ernest Vicart, jeden z najlepszych Misyonarzy, jacy wówczas żyli w Zgromadzeniu. Nic dziwnego, że ks. Kamocki, pomimo wzmagającej się z biegiem lat choroby oczu, nie opuszczał swego urzędu, czując obok siebie szlachetne serce przełożonego, bijące jedynie miłością Bożą. Dopiero po śmierci ks. Vicart 1874. r. poprosił o zmianę, bo zagrażała

zupełna ślepota. Nowy przełożony generalny Zgromadzenia, ks. Eugeniusz Boré, zamianował go spowiednikiem Sióstr Miłosierdzia w kilku paryskich domach; kiedy zaś umarł ks. Aleksander Jełowicki, objął po nim przyjaciel z ławy uniwersyteckiej jeszcze urząd kierownika polskich Wizytek, które po wypędzeniu z Wilna 1864. r. przez Murawiewa osiadłszy w Wersalu, założyły tam pensyonat dla polskich panien. Siły 75-letniego starca były już bardzo wątłe, ale zapał do pracy jeszcze młodzieńczy; wzrok miał tak osłabiony, że odprawiał już tylko Mszę św. *De Beata*, zamiast brewiarza odmawiał koronkę; a jednak nie chciał spocząć, chodził codzień po ulicach Paryża, narażając się dla ślepoty na wiele nieprzyjemności, byle tylko jeszcze popracować w konfesyonale. Nie chciał umierać w infirmeryi. Pan Bóg też istotnie spełnił jego życzenie. Było to 6. lipca 1884 r. Ks. Kamocki wstał punktualnie o 4-tej rano z całem Zgromadzeniem, odprawił Mszę św., gdy nagle uczuł, że go opuszczają siły. Przywołano O. Generała, który konającemu udzielił ostatnich Sakramentów św., a ks. Maryan zasnął spokojnie, trzymając w ręku różaniec, który był pociechą jego lat ostatnich.

Ks. Konstanty Michalski.

KRONIKA.

Włochy. — *Wybuch Wezuwiusza.* W dniu 5. kwietnia rozniosły dzienniki po całym świecie cywilizowanym przerażającą wieść o nowym, strasznym wybuchu Wezuwiusza, grożącym ruiną wielu zabytkom sztuki i kultury, zniszczeniem i klęskami materyalnemi, a co gorsza, śmiercią wielu okolicznym mieszkańcom, a przynajmniej nędzą nie do pojęcia. Dla nas inny jeszcze powód do obaw: w Neapolu, a nawet dalej u stóp samego wulkanu kilka domów obydwu Zgromadzeń naszych; Siostry Miłosierdzia miały domy: na północ od Wezuwiusza, tuż u podnóża, w Somma Vesuviana, na zachód na miejscu starożytnego Herculanum, w Portici, i na południe niedaleko od Pompei, w Torre Annunziata.

Spustoszenie, zniszczenie straszne, straty majątkowe były nieobliczone, ofiary z ludzi stosunkowo nieznaczne, nie zginął też żaden z naszych Konfratrów, a nawet żadna ze Sióstr, które w samym ogniu, wśród gradu kamieni rozżarzonych i deszczu popiołu spełniały zajęcia swego powołania z odwagą godną podziwu i naśladowania.

Nie można bez zgrozy czytać tego, co pisze S. Wizytatorka z Neapolu w swych listach do Matki generalnej o tych strasznych chwilach, jakie przeżyły Siostry przez cały Wielki Tydzień. Dym i popiół unoszący się nad całą okolicą tak były gęste, że nawet w Neapolu w niektórych dniach zupełna ciemność zalegała miasto. Swąd siarczany tak nasycił powietrze, że nawet w zamkniętych lokalach lękano się zaduszenia. Popiół i kamienie rozżarzone padały na ogromnej przestrzeni, sięgały aż do Foggii i do Benewentu; a w pobliżu

zasypywały drogi i ulice, tamując ruch nie tylko tramwajom i kolejom, ale ludziom i koniom. Domy zapadały się pod ciężarem kamieni. W ten sposób legło w gruzach całe miasteczko Ottajano u stóp Wezuwiusza; w innych miejscowościach ratowano domy ustawicznem czyszczeniem dachów i terasów. „Deszcz popiołu, pisze S. Wizytatorka 12. kwietnia, pada bezustannie. Proszę sobie wyobrazić zawieję śnieżną we Francyi; u nas coś podobnego. Domy, drzewa pokryte miasto śniegu grubym pokładem czarnym, szarym lub czerwonawym, stosownie do rodzaju popiołu. Wczoraj oczyszczono cały dom centralny, dziś trzeba rozpocząć na nowo. Robotnicy biorą po 50 do 80 fr. za oczyszczenie jednego dachu“. — Reszty zniszczenia dokonała lawa. „Wierzchołek Wezuwiusza, pisze S. Wizytatorka 11. kwietnia, zapadł się w krater, a wskutek naporu jego ciężaru otwarło się pięć paszcz ognistych u stóp wulkanu. Stamtąd rzuca się lawa całemi masami, spływając naokoło z ogromną chyżością“.

Już w liście z 5. kwietnia czytamy słowa: „Liczymy na opiekę naszej Niepokalanej Matki i św. Januarego, bo zawsze strzegli Neapolu!“ — Że ta ufność nie zawiodła, dowodzą szczegóły, zamieszczone w dwu powyżej wspomnianych listach. Oto wyjątek z listu z 11. kwietnia: „Lud z Torre Annunziata, a raczej resztki pozostałej ludności na widok lawy, płynącej ku miastu z chyżością 25 m. na minutę, domagały się wydania im cudownej statuy Najśw. Panny Śnieżnej. Inni wskutek nalegań i ostrzeżeń żołnierzy pouciekali z przerażeniem do miast okolicznych, biedny i prosty zaś ludek z całą ufnością wołał, że wybawi ich *Madonna miracolosa.* Gdy figurę wydano, ustawił się w szeregi i z tą wiarą, co góry przenosi, poszedł w procesyi wśród pobożnych modłów wprost naprzeciw lawie. — Generał, dowodzący załogą tameczną, chciał lud powstrzymać. „Spalicie się wraz z waszą Madonną“ wołał, ale napróżno. Tłum szedł naprzód z płaczem, jękiem, i z modlitwą na ustach. Poszedł więc i generał za nimi. Lawa coraz bardziej się zbliżała. Natenczas postawiono cudowną statuę tak blizko ognistego potoku, że całą dym oto-

czył i zakrył. Naraz lawa, jak gdyby niewidzialną ręką odepchnięta, zatrzymuje się, odwraca, płynie jeszcze nieco ku zachodowi w stronę zatoki neapolitańskiej, a potem zatrzymuje się zupełnie. — Na ten widok sam generał pada na kolana i wespół z ludem zanosi modły dziękczynne“.

List z 12. kwietnia opisuje cudowne skutki przyczyny św. Januarego. Ta strona Neapolu, w której Siostry mieszkają, mniej była wystawiona na straszne skutki wybuchu, chociaż i tam było wielkie niebezpieczeństwo. Większa jednak część miasta, zwłaszcza gdzie nasi Konfratrzy mają centralny dom przy ulicy Vergini, brodziła wciąż w ciemnościach. Dwunastego kwietnia doszło do tego, że w biały dzień nic nie można było rozpoznać. „Lud przerażony, pisze Siostra, domagać się zaczął procesyi z ciałem św. Januarego. Ks. arcybiskup, kardynał Prisco, wahał się z daniem pozwolenia, ale musiał ustąpić naleganiom“. Duchowieństwo, odbywszy krótką procesyę po mieście, chciało odnieść św. relikwie do katedry, ale lud się uparł i musiano pójść aż na koniec miasta. Wtedy, jak opowiadają naoczni świadkowie, nagle wiatr rozproszył tumany popiołu i wyjaśniło się niebo. „Myśmy widziały z domu centralnego, dodaje Siostra, tę nagłą zmianę kierunku wiatru, aleśmy nie wiedziały, że właśnie wtedy odbywała się procesya“.

Wśród tych strasznych przejść okazali nasi wiele odwagi i zdania się na Opatrzność Bożą. „Siostry, pisze S. Wizytatorka, zachowują zupełny spokój i zdają się na wolę Bożą. Codzień przyjmujemy Pana Jezusa jako wiatyk, a staramy się gorliwością w modlitwie i pracy rozbroić sprawiedliwość Boga. Prawdziwy to Wielki Tydzień, ale my stać będziemy z ufnością u stóp Krzyża wraz z Matką Bolesną“. — Z domów, położonych tuż obok Wezuwiusza, tylko część Sióstr wraz z sierotami szukała bezpiecznego schronienia, reszta została na stanowiskach. Z Torre Annunziata i z Portici uszły Siostry z dziećmi do Neapolu, z Somma Vesuviana do Caserty, a później, gdy i tam nie było bezpieczeństwa, do centralnego domu w Neapolu.

Z drugiego domu w Torre Annunziata, t. j. ze szpitala, nie chciały Siostry opuścić chorych swoich i przetrwały całą burzę. W Somma Vesuviana znów Siostra przełożona Talamas, ośmdziesięcioletnia staruszka, nie chciała porzucić ukochanego domu, jak nam opowiada S. Wizytatorka w liście z 12. kwietnia, choć już dachy na trzech budynkach siostrzeńskich runęły pod gradem kamieni, a sam dom jakby zmalał i zmienił się do niepoznania. Dwie z Sióstr, nie mogąc staruszki przekonać, żeby uchodziła wraz z innemi towarzyszkami i z sierotami, postanowiły z nią pozostać. „Wróćmy się, mówiły do siebie, a jeśli będzie potrzeba, umrzemy z nią razem!"

O wypadkach w Portici donosi S. Scipioni w liście z dnia 24. kwietnia. Wysławszy Siostry i sieroty morzem do Neapolu, sama z trzema towarzyszkami, które jej nie chciały odstąpić, pozostała nas straży domu. „Zamknęłyśmy się, pisze, oddając się w opiekę Opatrzności... Noc z wtorku na środę straszna była, ale groźniejsza jeszcze sama Wielka Środa. Wezuwiusz wciąż się przypominał przez głuchy huk podziemny, a choć lawa ku nam nie płynęła, zato tem obficiej popiół i kamienie padały, tworząc pokład do wysokości jednego metra. W środę spowiadałyśmy się, sądząc, że to może po raz ostatni, bo niebezpieczeństwo wciąż wzrastało. Noc upłynęła na gorącej modlitwie, a zrana we Wielki Czwartek słuchałyśmy Mszy św. i przyjęły Komunię św. — Tymczasem Wezuwiusz słał siarkę w takiej obfitości, że każdej chwili bałyśmy się zaduszenia. Ciemności też były coraz gęstsze". Chociaż wszędzie gaz się palił po całych dniach, trzeba było jeszcze ze świecą w ręku chodzić po domu. — „Około jedenastej, pisze dalej S. Scipioni, zaczęło się nieco rozjaśniać, popiołu i siarki było znacznie mniej. Chwilę przedtem byłyśmy tak blizkie śmierci, że teraz zdawało nam się, iż zmartwychwstajemy. Tak upływał dzień wśród strachu i nadziei. We Wielki Piątek kochany nasz Wezuwiusz, po długiem niewidzeniu znów nam się pokazał ale bez głowy". — Wskutek zapadnięcia się wierzchołka zniżył się Wezuwiusz blizko o 250 m. „Mimo wielu dotkliwych strat materyalnych, pisze

Siostra, było to dopuszczenie Boga, dla wielu dusz godziną łaski". Już S. Wizytatorka zaznaczała, że Wezuwiusz jest znakomitym kaznodzieją. Wielu od szeregu lat nie uczęszczających do Sakramentów św. przystąpiło obecnie do spowiedzi św. i Komunii Wielkanocnej. Konfesyonały były po całych dniach oblężone. Nieraz można było spostrzedz, jak oficerowie karcili żołnierzy i lud za przekleństwa, bluźnierstwa lub inne wybryki, a zachęcali do cierpliwości i zdania się na wolę Boga. — Niema złego, coby na dobre nie wyszło!

Ameryka — Stany Zjednoczone. — *Trzęsienie ziemi w Kalifornii.* Jeszcze nie skończyły się wieści o strasznem spustoszeniu u stóp Wezuwiusza, a dzienniki doniosły o nowej katastrofie w San Francisco i miejscowościach okolicznych. I znowu powód do obawy dla nas, bo i tam pracują obydwie Rodziny św. Wincentego. — Księża mają dwa domy w Kaliforni północnej, w Los Angeles i Whittier; Siostry cztery domy w San Francisco: dom dla sierót, dom podrzutków pod opieką św. Józefa, szkołę pod wezwaniem św. Wincentego i pracownię dla dziewcząt; nadto kilka zakładów na południe od San Francisco: w San José, Santa Cruz, Hollister, Los Angeles i Santa Barbara.

Trzęsienie ziemi z dnia 18. kwietnia nie tylko obróciło w gruzy całe San Francisco czyli Frisco, jak mówią w potocznym języku, ale wstrząsnęło całem prawie zachodniem wybrzeżem północnej Ameryki, zniszczenie straszne szerząc wszędzie, pochłaniając tysiące ofiar z ludzi; dało się odczuć i w południowej, meksykańskiej Kalifornii, i dalej na wschód wgłąb kraju, w sąsiednim Stanie Nevada i jeszcze głębiej.

Choć nasi nie ponieśli i tam, dzięki szczególniejszej opiece Bożej, żadnej straty w ludziach, klęska ta dała się zwłaszcza Siostrom bardzo we znaki. Nie można bez przerażenia czytać listów, pisanych przez Siostry tamtejsze do S. Wizytatorki Stanów Zjednoczonych.

„To, co się u nas działo w tych dniach, pisze jedna z nich 20. kwietnia, jest tak przerażające, że żadne opowia-

danie ani opis nie zdolne oddać rzeczywistości. Nigdy o tem nie zapomnimy. Ale w tym strasznym ucisku doznajemy najwyraźniej dowodów nieskończonej dobroci Bożej. Rozumiemy teraz prawdziwość słów św. Wincentego, że Bóg czuwa w szczególniejszy sposób nad służebnicami ubogich. W środę, 18. kwietnia o $5^1/_4$ zrana, gwałtowne trzęsienie ziemi zbudziło wszystkich mieszkańców San Francisco. Zrazu głuchy huk podziemny, potężniał coraz bardziej, a wnet łomot i trzask walących się budynków odpowiedział mu echem. Setki ofiar legły pod gruzami, a wśród huku i szczęku słychać było żałosne krzyki rannych, bolesne jęki umierających. Zaroiło się na ulicach od dzieci i dorosłych, co uciekali w popłochu, nie wiedząc dokąd, bez dachu, chleba i mienia, postradawszy w jednej chwili wszystko, co posiadali. — Nie koniec na tem. Wnet buchnął pożar ogromnym płomieniem i ogarnął większą część nieszczęśliwego miasta. Bohaterskie wysiłki straży pożarnej, wojska i policyi były daremne: gaz, dobywając się z rur, przerwanych trzęsieniem ziemi, podsycał pożar wraz z innymi palnymi materyałami, a brak wody z powodu zniszczenia wodociągu uniemożliwił wszelką akcyę ratunkową. Usiłowano zlokalizować pożar wysadzeniem w powietrze większych zabudowań, ale napróżno; ogień szerzył się z siłą żywiołową. Co chwila nowy huk podziemny, co moment nowy łomot walących się budynków. Gęsty dym przesłonił światło słoneczne. Zdawało się, że nadszedł koniec świata".

Dwa domy siostrzeńskie w San Francisco, dla sierót i dla podrzutków, ocalały. Położone na wzgórzu zdala od kupieckiej, ludnej części miasta, doznały tylko kilku znaczniejszych wstrząśnień. Dom ze szkołą św. Wincentego runął zupełnie. „Osądźcie, pisze tasama Siostra, co za straszny był widok tych Sióstr po przybyciu do domu sierot: blade, przerażone, zmęczone. Ich dom, ich śliczna szkoła, mieszcząca siedm do ośmiu set dzieci, zniknęły zupełnie. — Siostry były właśnie na rozmyślaniu porannem: naraz gaśnie lampka przed Najśw. Sakramentem, figury z łoskotem spadają na podłogę, ławki przewracają się, odłamy gipsu odpadają z trzęsących

się murów. Wychodzą spiesznie na podwórze, a tu wszędzie porozrzucane cegły, drzewo, szkło, skorupy. Jeszcze nie ochłonęły ze zdumienia, a wtem naprzeciw wali się dom z łoskotem, przygniatając pod swymi gruzami całą rodzinę tam zamieszkałą. W tej chwili właśnie nadchodzą księża z parafii. Jeden udzielił Siostrom absolucyi i rozdał Komunię św., a potem nakazał natychmiast dom opuścić. W samą porę wyszły, gdyż zaraz ogień ogarnął wszystko". — Ogołocone ze wszystkiego, co posiadały, schroniły się częścią w domu sierót, częścią w domu podrzutków.

Czwarty dom we Frisco ocalał wprawdzie, ale mocno nadwyrężony nie dawał rękojmi bezpieczeństwa; to też Siostry wraz z wszystkiemi dziewczętami z pracowni, zamieszkały także w domu sierót. Ten sam smutny los spotkał domy Sióstr dalej na południe położone. W San José, jak opisuje S. Wiktorya, cały szpital zniszczony, sterczą tylko mury silnie nadwyrężone. Pominąwszy drobne skaleczenia ręki u jednej Siostry, a nogi u drugiej, wyszły wszystkie bez szwanku. Chorych także zdołano na czas powynosić. Umieszczono ich tymczasowo w namiotach.

W Hollister tosamo zniszczenie. „Dom nasz, pisze S. Teresa 19. kwietnia do S. wizytatorki, zupełnie zniszczony. Jakeśmy same uszły cało, tego same pojąć nie umiemy. Pięć moich towarzyszek dało dowód niezmiernej odwagi, bo tuż po katastrofie wyszły aż na trzecie piętro walącego się domu, ażeby ratować dzieci, mimo że lada chwila mógł je zabić lub ciężko zranić odpadający gips... Ocalały, wyratowawszy szczęśliwie dzieci tam pozostałe. Dom nasz wprawdzie stoi jeszcze, ale są to tylko puste, nadwyrężone ściany... My same mieszkamy na razie wraz z dziećmi w dwu najętych domeczkach. Co będziemy dalej robić, nie wiadomo. Poczciwy lud dałby nam wszystko, byle nas nie utracić.

Trzęsienie to poczyniło także mniejsze już szkody w innych domach na południu, jak donoszą tamtejsi księża i Siostry Miłosierdzia.

Madagaskar. — List ks. biskupa Crouzaet'a o buncie trędowatych. *Farafangana*, 18. kwietnia 1906. W nocy z 13. na 14. kwietnia znieważyło kilku trędowatych grób pewnej Siostry: rozbili trumnę i porozrzucali szczątki zmarłej. — Już kilka dni przedtem odbyły trzy tubylcze plemiona zgromadzenie (kabary), na którem wodzowie obmyślili ten brutalny środek, by dać wyraz niezadowoleniu ze schroniska dla trędowatych. — Roztaczali tam różne pomysły. Żywo na przykład rozprawiali nad projektem wymordowania wszystkich białych, zamieszkałych w schronisku, to jest siedmiu Sióstr i jednego Misyonarza. Wielu domagało się tego bezwarunkowo, lecz jeden z wodzów stanowczo się sprzeciwił, nie przez uczucie ludzkości, ale dlatego, że jak mówił, nie podobna bezkarnie wykonać takiego zamachu w pobliżu rezydencyi zarządu prowincyi, tuż pod okiem zbrojnej załogi. A gdy wzgląd ten nie zdawał się innym przemawiać do przekonania, zagroził, że nie tylko sam nie weźmie udziału w napadzie, ale gotów go nawet przemocą udaremnić. Godzien też uwagi i drugi szczegół, bo wyjaśnia nam i potwierdza to, co przed rokiem w czasie ostatnich zaburzeń sam zauważyłem i co słyszałem o usposobieniu Malgaszów. — Razem z Siostrami pracują w schronisku dwie bardzo zasłużone osoby, które rozpoczęły to dzieło i przez rok same się niem zajmowały. Pochodzą z Anglii, więc rząd angielski zapewne ująłby się za niemi: dlatego też postanowili Malgasze oszczędzić je w razie zamachu, „bo, jak mówili, nie warto wchodzić w kolizyę z Anglikami". — Ostatecznie krwawy wniosek upadł, a przeszedł jednogłośnie projekt znieważenia grobu. W przekonaniu krajowców równa się to przekleństwu, rzuconemu na znienawidzone osoby. Zgadzają się też z tem zupełnie zeznania winnych: na pytanie o pobudki do tej zbrodni odpowiadali wszyscy, że chcieli się przez to pozbyć Sióstr, aby odzyskać swobodę. Ale czy to jedyny powód, trudno orzec. Smutne to zajście zaskoczyło nas niespodzianie. Zachowanie się chorych przedtem było zupełnie poprawne, więcej nie można żądać od ludzi już i tak roz-

drażnionych cierpieniem i odosobnieniem przymusowem. Zdarzały się wprawdzie wypadki ucieczki, ale większość zbiegów



Schronisko dla trędowatych w Farafanganie.

dobrowolnie lub pod przymusem wracała po kilku dniach. Teraz dopiero po zaburzeniach można zauważyć znaczny brak uległości i szacunku, a nawet i zuchwalstwo. — Try-

bunał, przed którym stanęli winowajcy, okazał bardzo dużo wyrozumiałości, wymierzając karę według kodeksu francuskiego, a więc nadzwyczaj łagodną w porównaniu do bezwzględnej w tych razach surowości prawa Malgaszów. I stąd to mogła u nich powstać myśl, że postępek ich nie wielką był zbrodnią, a tem samem i wina nie ciężka, bo Malgasze oceniają wielkość winy według surowości kary. — Może się mylę? Nie chciałbym krytykować, a tem mniej ganić wyrozumiałości, nie licowałoby to z moim stanem i zasadami. Zapisuję tylko fakt i charakteryzuję usposobienie.

Nie trzeba chyba dodawać, że w schronisku panuje wielkie przerażenie. Siostry służą chorym z tem samem poświęceniem i troskliwością, zmieniając się kolejno, ale największa odwaga i zaparcie, nie mogą usunąć poważnych obaw o własne bezpieczeństwo. Tem więcej mnie te troski trapią, bom odpowiedzialny za wszystko. To też radbym miał przynajmniej czterech żołnierzy do obrony w razie nowego buntu. — Na rządzie cięży ten obowiązek, bo schronisko nie jest mojem dziełem. Zasługa w tem gen. Galliéni'ego i administratora prowincyi Farafangana, p. Bénévent. Przyjąłem zaś ten ciężar, aby nie posądzano Misyonarzy francuskich o brak poświęcenia i wspaniałomyślności zwłaszcza, że nawet cudzoziemcy ofiarowali swe usługi naszym władzom. Przedsięwzięcie zaczęło się od razu pomyślnie rozwijać; już w drugim roku liczba chorych wzrosła z trzystu pięćdziesięciu do pięciuset, przeciętnie zatem około czterystu mężczyzn, niewiast i dzieci mieści się w schronisku. Ale żaden z nich nie przyszedł dobrowolnie. Rząd po prostu wyszukuje chorych, a prośbą i groźbą zmusza ich do pobytu w schronisku. Nic więc dziwnego, że marzą wciąż o ucieczce, że wzdychają do wolności. Niepodobieństwem także, by siedm Sióstr zdołało utrzymać ich w karbach, a tem bardziej przekonać; Malgasze głusi na wszelkie namowy. Zrazu było spokojnie, bo rząd starał się zjednać sobie chorych, wmawiając w tych nieszczęśliwych, że muszą wprawdzie pozostać przez pewien czas w schronisku, ale wkońcu pod troskliwą opieką od-

zyskają zdrowie, a zatem i wolność. — Nie brak wprawdzie opieki, ale zdrowie nie wraca: stąd niecierpliwość, stąd rozgoryczenie i bunt! — A zdaje się, że się nie skończy na tym jednym strasznym objawie wzburzenia u chorych. Prędzej czy później nowy bunt może wybuchnąć. Na razie niema niebezpieczeństwa, bo p. Bénévent przysłał dla ochrony czterech żołnierzy, ale życzyć sobie należy, by tego zarządzenia nie cofnięto w przyszłości.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków-Kleparz. Od dawna oczekiwały nasze domy zarówno w Ameryce Północnej jak Południowej na przyjazd ks. Wizytatora jako na znak, że olbrzymie przestrzenie nie rozluźniły węzłów, łączących członków jednego Zgromadzenia, że metropolia nie zapomniała o wysuniętych naprzód osadach. To też Najczcigodniejszy ks. Wizytator Słomiński wyjechał do naszych Konfratrów za ocean już 15. września a więc zaledwie pół roku po objęciu rządów prowincyi. Prowincya ta zyskała w ubiegłym kwartale znów jeden posterunek, znowu jeden od wieków cudami słynący kościół-Milatyn, gdzie zamianowano Superyorem ks. Fr. Buchhorna, dotychczas przełożonego w Jezierzanach. Do Odporyszowa i Kaczyki, słynnych cudami Matki Boskiej, dołączył się Milatyn, gdzie Zbawiciel ukrzyżowany sam jakby z tronu wysłuchuje najbardziej potrzebujących. Z tych trzech źródeł zlewały się już setki lat strugi szczególnej łaski Bożej na nasz lud od Bukowiny aż po Galicyę Zachodnią; nadzieja w Bogu, że ta łaska nie pominie sług, stojących na straży tych świątyń i świętości. Błogosławieństwo Boże znać istotnie w prowincyi, bo zapowiada się na przyszłość znaczniejszy przyrost sił; w domu centralnym doszła liczba seminarzystów do 39. Sił potrzeba coraz więcej, skoro się otwiera coraz nowe pole do zasiewu czy żniwa. Tak n. p. w ubiegłym kwartale poproszono nas po raz pierwszy o przewodnictwo w rekolekcyach dla księży na Bukowinie. Dotąd świadczyli tę przysługę O. O. Jezuici z Czerniowiec; w roku bieżącym

dla większej wygody obrali księża dekanatu suczawskiego Kaczykę, według dawnej tradycyi odprawili ćwiczenia duchowne księża dekanatu czerniowieckiego. Przewodniczył na rekolekcyach w Kaczyce ks. Superyor Lewandowski od 27 do 30. sierpnia; tęsamą usługę oddał księżom dyecezyi krakowskiej w seminaryum dyecezyalnem. Konfratrzy domu centralnego dali nadto troje rekolekcyi dla Sióstr Miłosierdzia i jednę dla Dzieci Maryi w Chełmnie. Z Królestwa dochodzą nas ciągle pocieszające wieści o wpływie naszych misyi na miejscową ludność. Przytaczamy list z Dąbrowy Górniczej, umieszczony w warszawskim *Przeglądzie katolickim* z dnia 30. sierpnia b. r.:

Z Dąbrowy Górniczej. „Najukochańsza Mamusiu. Zabieram się do pisania tego listu z uczuciem wielkiego wzruszenia i radości.

W tej chwili ukończyły się n nas misye, które prowadzili Ks. Ks. Misyonarze przez ubiegły tydzień ku pociesze i zbawieniu dusz naszych, tak bardzo udręczonych rozterką i nienawiścią. Otóż, gdy przed 10-ciu dniami ogłoszono tę wieść, do Czcigodnego naszego Proboszcza przyszła delegacya od różnych partyi, aby cofnął zaproszenie, bo za bezpieczeństwo nikt nie zaręcza, bo koszt będzie wielki na utrzymanie Misyonarzy itp.

Otóż ten dobry nasz i wielkoduszny Pasterz odparł wszystkim: „Ja sam zapłacę, ja sam na siebie biorę wszelką odpowiedzialność; Bóg dopomoże!“

Gdy przyszli Księża, po pierwszem zaraz kazaniu socyaliści rozpuścili wieść, że to wysłańcy cesarscy, na to przysłani, żeby pomódz do nałożenia niewolniczego jarzma na kark robotnika, który zaczął się siłą wyzwalać. W fabrykach co noc odbywały się wiece, na których anarchisci ogniście przeciw misyi buntowali. Do kościoła przez pierwsze dwa dni chodzili przeważnie tercyarze, osobiści przyjaciele proboszcza i drobna garstka inteligencyi. Nie będę opisywać stopniowego zainteresowania, na które patrzyliśmy, bywając codzień w kościele i słuchając tych natchnionych kazań, któ-

rych bywało codzień cztery, prócz nauk, wygłaszanych przez ojca przeora w formie krotochwilnej, nieprzeparcie pociągającej lud, — to tylko powiem, iż na czwarty dzień, kto żyw, leciał słuchać i korzyć się przed Panem. A dziś na pożegnalnem kazaniu powiedział Ks. Misyonarz: „na 20.000 parafian, przez tydzień czasu wyspowiadało się 11.000. Takiego rezultatu jeszcześmy nigdzie nie mieli. Powiedzieli nam, żeście całkiem zepsuci, a przekonaliśmy się, że Bóg wyjątkowo dotąd czuwa nad duszami waszemi....“

Mąż mój był jednym z pierwszych u spowiedzi, a potem do stowarzyszenia „Sokół“ wystosował następującą odezwę:

„Sto lat czekaliśmy na wolność słowa, sumienia i czynu. Choć czyn jeszcze w okowach, sumienie nasze, też nie znające Pana, nie dający się okuć w kajdany — czynnik w człowieku, doczekało się wielkiej chwili wolnościowego tryumfu w postaci misyi w Dąbrowie.

Druhy! my jako polskie towarzystwo, pamiętajmy, że u nas Wiara i Ojczyzna — te dwa najdroższe nam pojęcia, zespoliły się nierozłącznie, a zatem dajmy dowód, że święto w katolickim kościele jest też świętem naszego „Sokoła“ i na czas trwania misyi zaprzestańmy ćwiczeń, a kroki nasze zwróćmy tam, gdzie głoszone jest Słowo Boże, słowo przebaczenia, nadziei! Czołem!

Wielotysięczny tłum, który się do spowiedzi nie docisnął, oblega i oblegać będzie jeszcze długo konfesyonały, w których w dalszym ciągu zasiedli zacni kapłani nasi dąbrowscy.

Wielu ludzi, co po 20 lat się nie spowiadało, śpieszyło jedno za drugiem, by doznać pociechy; nawet nieprawe stadła zostały złączone ślubem.

Słowem, przeżyliśmy tu dzień cudu!!“

Witkow nowy. List ks. superyora J a k ó b a K o n i e c z n e g o o poświęceniu kamienia węgielnego pod kółko rolnicze: „Przypatrzywszy się zbawiennej a rozległej działalności kółek rolniczych po wielu miejscowościach w czasie

pięcioletniego udziału w misyach, doszedłem do przekonania, że dzieło to jest jedynym środkiem do podniesienia moralnego i ekonomicznego stanu naszej ludności, tak często jęczącej pod jarzmem żydowskiem. Skorom tylko osiadł w Witkowie jako kierownik parafii, zacząłem myśleć o założeniu kółka rolniczego, widząc miejscowy lud nielitościwie wyzyskiwany i traktowany lekceważąco przez żydów, stanowiących 52% mieszkańców Witkowa. Bałem się jednak, czy kółko będzie się mogło ostać wobec konkurencyi i agitacyi Izraela. Cóż więc robić? Robić coś trzeba, bo na tak małej parafii trzech kapłanów winno coś więcej zdziałać, a nie ograniczać swej pracy do szkół, do posług duchownych i do pomocy sąsiednim proboszczom w czasie odpustów. Myślałem ciągle o tem, skąd wziąć pieniędzy, gdy pewnego razu naczelnik gminy podsunął mi myśl założenia kasy Raiffeisena, inaczej nas Rusini ubiegną. Projekt mi się spodobał i ogłosiłem zachętę z ambony. Nie brakło krytyki z różnych stron, nie brakło pomruków różnych mędrców żydowskich, nie brakło odradzania — mimo to odbyło się zebranie założycielskie 1. lutego 1903 r.; przystąpiło 50 członków. Rozpoczęliśmy dzieło 16. kwietnia 1903 r. uroczystem nabożeństwem, a kasa pod koniec tegosamego roku wykazała już obrotu 51000 koron, dotychczas zaś wypożyczyła swym członkom 80000 koron, któreby inaczej poszły do rąk żydowskich na procent chyba P. Bogu wiadomy. Opowiadano mi wypadek, że pewien żydek brał od wieśniaka 1 złr. tygodniowo od 10 złr. czyli 520%. Widząc nadspodziewany rozwój spółki raiffeisenowskiej, zacząłem znowu myśleć o kółku zwłaszcza, że jego potrzeba teraz była wyraźniejsza. Wskutek pożaru Witkowa 30. maja 1904. żydzi niektórzy podupadli, a domy nowe trzeba było pomurować. Żeby czemprędzej dojść do pieniędzy, podnieśli starozakonni niesłychanie cenę towarów zwłaszcza wiktuałów tak, że ludzie wołali: „Niech ks. superyor nas ratuje, niech już coś zacznie robić, aby powstał sklep katolicki, bo żydzi skórę z nas zedrą“. Przedstawiłem całą sprawę w liście do J. Ex. pana Marszałka, ale

długo nie otrzymałem odpowiedzi. Dopiero 15. sierpnia 1905 r. podczas mojego pobytu w Radziechowie zachęcił mnie hr. Badeni, przyrzekając szczere poparcie. Istotnie, kiedy dałem zrobić plan i otrzymałem kosztorys na 25000 koron, J. Ex. p. Marszałek wyłożył całą sumę, zastrzegając sobie tylko, że weźmie dom na swój użytek, jeżeliby kółko w przyszłości miało kiedy upaść. Dnia 26. lipca b. r. rozpoczęliśmy budowę ku wielkiemu przerażeniu żydów. Ponieważ wypadało urządzić uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego, zaprosiłem w tym celu Najczcigodniejszego ks. wizytatora Słomińskiego. Przyjął zaproszenie i przybył w zapowiedzianym dniu prawie wprost z Jasnej Góry po uroczystości poświęcenia tamże nowo odbudowanej wieży. W niedzielę 19. sierpnia udaliśmy się wszyscy po nieszporach na miejsce budowy, gdzie po wstępnych śpiewach i modlitwach Najczcigodniejszy ks wizytator przemówił w gorących słowach do zebranych. Wypowiedział swoją radość z tego, że może poświęcić kamień węgielny pod dom, z którego jakby z ogniska bić będzie światło cywilizacyi chrześcijańskiej, oświata nie ta, co jątrzy i niszczy, ale ta, która spaja, buduje i podnosi. Odśpiewaniem antyfony „Pod Twoją obronę“ zakończyła się uroczystość. Obecnie dom stoi już pod dachem. Ponieważ dom będzie intabulowany na kościół, więc dobry byłby dla tego ostatniego dochód, jeżeliby kółko prosperowało. Od Pana Boga zależy dalsza pomyślność tej sprawy, zapowiada się jednak wszystko nie źle; zresztą „*adiutorium nostrum in nomine Domini*.

Poszukiwania w podziemiach kościoła. — Przed kilku miesiącami wydał Józef Białynia Chołodecki piękną monografię o Gertrudzie z Komorowskich Potockiej, której tragiczny zgon natchnął Malczewskiego do napisania prawdziwego klejnotu w naszej literaturze — „Maryi“. W 2 pierwszych rozdziałach opisał p. Chołodecki gniazda Piławitów-Potockich i Komorowskich, w 3 następnych sekretny ślub Szczęsnego Potockiego z Gertrudą Komorowską, podstępne porwanie przez Potockich synowej, jej śmierć i echo całej

sprawy przed sądem delegacyjnym. Dla nas najważniejszym jest rozdział ostatni, gdzie podano niektóre szczegóły o Witkowie, dotąd w naszym organie nie uwzględnione:

„Witków leży przy drodze, wiodącej z Brodów do Krystynopola, w odległości półtora mili za Radziechowem, wśród obszarów urodzajnej gleby, torfowisk i lasów. Miejscowość ta jest złożoną z dwóch odrębnych części, z Witkowa starego, włości ruskiej i z Witkowa nowego, miasteczka, zamieszkałego przez ludność polską i żydowską. W środku osady, na nieznacznym pagórku, wznosi się klasztor, fundowany r. 1675. przez pana tych obszarów, Wacława z Brzezia Bąk Lanckorońskiego herbu Zadora i tegoż małżonkę Annę z domu Łaszczów, na miejscu warownego zamku i oddany do dyspozycyi OO. Augustyanom. Klasztor ten, zamieszkały ongi przez licznych mnichów, był zbudowanym w kształcie czworoboku z niewielkim kościołem.

Po zarządzonej przez cesarza Józefa II. kasacyi zakonów, po zburzeniu dworu i dwóch skrzydeł klasztornego gmachu, opustoszała resztka budynku, zaniedbana siedziba rz. kat. parocha. Dosadną ilustracyą stosunków jest fakt, że proboszcz, w obawie przed grasującymi w miejscu i okolicy włóczęgami i zbrodniarzami, umieścił swą krówkę na pierwszem piętrze budynku, następnie opuścił zupełnie mury i szukał przytułku pod strzechą przychylnych mu parafian.

Dobra witkowskie zmieniły w ciągu wieków swych właścicieli, weszły w skład olbrzymich obszarów możnego rodu Pilawitów-Potockich, należały następnie do hrabiów na Orawie i Liptowie, Komorowskich, później do hr. Mierów, poczem przeszły w ręce marszałka, Stanisława hr. Badeniego. Dziełem tego ostatniego odnowienie klasztoru w Witkowie i oddanie go, jako budynku parafialnego, r. 1898. w ręce Ks. Ks. Misyonarzy, reguły św. Wincentego a-Paulo, którzy w liczbie trzech kapłanów i dwóch braciszków, spełniają obecnie swoje zadanie wśród okolicznej ludności: Witkowa starego i nowego, Andrzejówki, Feliksówki, Hohołowa, Korczyna, Obrotowa i Rożdżałowa.

Pod kościołem klasztornym, który, jako świątynia, nie zawiera w sobie żadnych starożytnych utworów sztuki, jedynie tylko kopię obrazu Matki Boskiej Łuckiej z r. 1670., zeszpeconą przy odnowieniu w r. 1852., składano przez długie lata zwłoki zakonników reguły św. Augustyna, których też spora liczba spoczywa tamże snem wiecznym. Dla późniejszych pokoleń była zawartość grobowca osłonięta mgłą tajemniczości, zwłaszcza, gdy wskutek demolacyi dwóch skrzydeł klasztoru i zawalenia się części piwnic, zamknęło rumowisko wejście do podziemia, a jedyną komunikacyę stanowiło okno piwniczne, wiodące z głębi podziemia do ogrodu klasztornego. Tem oknem spuszczali się do wnętrza w czasach upadku budynku rzezimieszki i opryszki, rozbijali widocznie trumny w poszukiwaniu za ich cenną zawartością i szukali wśród trupich szczątek i butwiejących kości wygodnego ukrycia i legowiska. By zapobiedz profanacyi miejsca wiecznego spoczynku, polecił ks. biskup, późniejszy kardynał, Puzyna, w czasie podróży dyecezyalnej, zwęzić okno piwniczne i pozostawić tylko odpowiednią wentylacyę grobowca. Pomimo, iż to wykonano, możliwość dostępu przez okno pozostała nadal.

W roku 1906. dowiedziałem się z ust mieszkającego w Witkowie zięcia mego, Seweryna Kaczkowskiego, iż wedle twierdzenia wiarygodnych osób, znajdują się w podziemiach klasztornych, obok zwłok OO. Augustyanów, szczątki świeckich osobistości, między innemi szczątki Gertrudy z hr. Komorowskich Szczęsnowej Potockiej.

Wiadomości takiej nie mogłem naturalnie przyjąć obojętnie, toż zakomunikowałem ją drowi Aleksandrowi Czołowskiemu, jako konserwatorowi zabytków architektonicznych w tej części kraju i ułożyłem z nim wspólny wyjazd do Witkowa. W dniu 14. lipca 1906. stanęliśmy do apelu, z zamiarem zbadania klasztoru i grobowców. Obok dra Czołowskiego, Kaczkowskiego i mnie, wzięli z całą uprzejmością udział w akcyi Ks. Ks. Misyonarze, jako gospodarze klasztoru, a to: ks. Jakób Konieczny, superyor, ks. Bernard Sobawa,

prokurator, ks. Konstanty Ferdyn katecheta i bawiący chwilowo w Witkowie ks. dr. Franciszek Bączkowicz, profesor św. teologii.

Nie bez trudności dostaliśmy się po jednemu przez piwniczne okno do podziemia, gdzie zastaliśmy dość czyste powietrze, wynik ustawicznego przewiewu otwartego grobowca. Przy blasku świec przejrzeliśmy szczegółowo dwie piwnice, dalsze bowiem sklepienia zatarasowało rumowisko. W piwnicy drugiej, odleglejszej od otworu, znaleźliśmy na ziemi obok rumowiska stos kości i czaszek, bez jakiegokolwiek śladu trumień, a tem mniej napisów. Na środku tej piwnicy leżały resztki kontusza z wylotami, z materyi jedwabnej, którego guziki zwłaszcza zachowały się w niezłym stanie*).

Obfitszem było odkrycie w piwnicy pierwszej. Tutaj obok piszczeli, kręgosłupów, czaszek, napotkaliśmy cztery porozbijane trumny i trzy zeschłe na mumie, względnie atoli dobrze zachowane kościotrupy. Jednym z nich są widocznie szczątki mnicha. Sędziwego musiał on dożyć wieku, jak to stwierdzają zanikły w sobie szkielet i drobne, zwiędłe kończyny. Druga, wyschła postać w siedzącej pozycyi, oparta o kąt piwnicy, jest postacią starszej kobiety. Wedle tradycyi mają to być szczątki matki Gertrudy, Antoniny z Pawłowskich 1° v. Komorowskiej, 2° v. Szeptyckiej, która jadąc powozem, ugrzęzła w bezdennem błocie i zanim doczekała się ratunku, zakończyła życie i ostygła w siedzącej w powozie postawie tak, iż niemożliwem było później wyprostowanie jej i umieszczenie w trumnie. Znaleziono ją ponoś z ulubioną fajką, której antypka wpadła jej do gardła.

Najbardziej bezprzecznie interesującym jest kościotrup trzeci. W trumnie pustej, obok stojącej, widnieją litery: „...TRU... KOMOROWSK...“ (Gertruda Komorowska)

---

*) Możebnem, iż to szczątki Jakóba Komorowskiego Brak w tej mierze sepultur. Księgi kościoła w Witkowie sięgają wstecz r. 1787. w Radziechowie (przedtem była parafia w Staninie) r. 1753. do 1776., potem r. 1784., w Krystynopolu r. 1798., a w Ostrowie obok Sokala r. 1784.

i w niej to miały pierwotnie spoczywać zwłoki Gertrudy, dotąd tak dobrze zakonserwowane.

Nie bez wrażenia spozicra widz na te szczątki nieszczęśliwej ofiary zarozumiałości i buty jednostek w czasach bezładu i niedołęstwa rządów upadającej Rzeczypospolitej; nie bez wzruszenia patrzy na tę postać, owianą aureolą męczeństwa, ukołysaną do snu wiecznego cudowną pieśnią Malczewskiego. Ileż tò myśli, ile refleksyi nasuwa się na widok wyschłych zwłok, które po stu trzydziestu sześciu latach postawiły nam przed oczy podziemia klasztoru w zapadłym zakątku kraju.

Po wykonaniu przez dra Czołowskiego przy świetle magnezyowem zdjęć fotograficznych i wydaniu dyspozycyi co do zamurowania dostępu do piwnic, opuściliśmy głębie i powrócili z krainy umarłych w krainę żywych, kierując swe kroki do oddalonego zaledwie o cztery kilometry od Witkowa sioła Suszna, rodzinnego gniazda błogich nadziei, szczęścia, rozkoszy, później smutku, rozpaczy i strasznego losu Gertrudy".

Kaczyka. — *Gazeta Polska*, wychodząca w Czerniowcach, podała w numerze z 23. sierpnia b. r. załączony niżej, piękny opis uroczystości odpustowej w Kaczyce: „Tegoroczny odpust w Kaczyce ku czci Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny miał cechę niezwykle uroczystą, może nawet więcej niż za lat dawnych.

Na wielką skalę zakrojona uroczystość kościelna odbywała się już w nowej prześlicznej świątyni Pańskiej, której smukłe wieżyce odbijają się na tle ciemnych borów kaczyckich, jak błagalne, wyciągnięte ku niebu dłonie, aby Najwyższy błogosławił temu uświęconemu miejscu. Kaczyka bowiem to nie tylko silna ostoja katolicyzmu na Bukowinie, ale i szczerego polskiego ducha, który w murach nowego kościoła dozna tem większego przytułku i pomocy.

Kaczyka, to niejako silny fort przeciw coraz energiczniejszym zakusom protestanckim; Kaczyka, przezwyciężywszy szczęśliwie wielkie trudności w doprowadzeniu bu-

dowy kościoła, będzie co roku, w tym pamiętnym dniu odpustowym, krzepić serca tysięcy pielgrzymów i dawać świadectwo prawdzie.

Nimo złośliwych pogłosek, które miały na celu odwieść wielu od pielgrzymki odpustowej, tysiące ludu pospieszyło do Kaczyki tak z okolicy jak i miast bukowińskich (przedewszystkiem z Czerniowiec), a nawet z Galicyi. Pogoda była prześliczna. Już od stacyi kolejowej panował niezwykły ruch pieszy i kołowy.

Na obszernem miejscu przed kościołem przewijały się wśród licznych kramów i bud jarmarcznych tłumy pątników, które wysypały się co dopiero z kościoła po uroczystej wotywie. Wśród pątników spotkać można było liczne grupy naszych rodaków z Pojana Mikuli, Sołońca, Plesza, Czerniowiec i t. d., co krok słychać było mowę polską, a wszystkie twarze dziwnie rozradowane, ukojone.

Świątynia kaczycka zbudowaną została wedle planów znanego polskiego architekty Talowskiego i stanowić będzie nie tylko pomnik artystyczny genialnego w swym rodzaju naszego mistrza architektury, ale zarazem zajmie wśród świątyń naszych wybitne miejsce, co do czystości stylu i oryginalnej ornamentyki. Kościół utrzymany jest w stylu gotyckim; stoi nieco na wzgórzu i panuje nad Kaczyką. Widać od pierwszego rzutu oka, że wiele jeszcze brakuje do wykończenia na zewnętrznej stronie kościoła, zaś na wewnątrz wszystko prawie jest prowizoryczne. Skromny ołtarz, mury białe, jeszcze nie wysuszone, brak jeszcze ambony, organów i t. d.

Mimo tego czcigodny gospodarz, ks. Superior Grabowski, oprowadzając nas, jest uszczęśliwiony i uśmiechnięty. „Wszystko będzie niedługo, skoro już mamy mury i dach nad głową“ — mówi do nas, w słowach jego przebija się stanowczość i pewność — „Matka Najświętsza nas i nadal nie opuści“.

Uroczystość odpustowa odbyła się ściśle wedle programu. W wigilię odprawione zostały nieszpory z kazaniem polskiem i niemieckiem, a następnie procesya z Najśw. Sa-

kramentem. W sam dzień odpustu odbyła się o godz. 5 rano prymarya, o godz. 7 wotywa, o godz. 8 kazania węgierskie i rumuńskie, o godz. 9 wotywa w obrządku gr.-katolickim, zaś o godz. 10 kazanie niemieckie wygłoszone przez ks. prałata Swobodę z Radowiec.

Najwspanialej wypadła o godz. 11 uroczysta suma, celebrowana w asystencyi licznego duchowieństwa przez ks. kanonika Cewego z Suczawy. Podczas sumy wygłosił porywające kazanie ks. prałat Kaj. Kasprowicz z Czerniowiec w języku polskim. W czasie nabożeństwa rozbrzmiewały z chóru wzorowo odśpiewane pieśni kościelne przez chór amatórów z Kaczyki pod batutą ks. Rybki. Nastrój rozmodlonych tłumów spotęgowała podniosła pieśń do Matki Boskiej, (kompozycyi prof. O. Żukowskiego), odśpiewana z uczuciem przez znanego z czerniowieckiej estrady koncertowej barytonistę p. Grabowskiego, obdarzonego niezwykle pięknym materyałem głosowym.

Po sumie i procesyi odbył się w skromnym domku probostwa Ks. Ks. Misyonarzy obiad, na który zaproszeni byli prócz duchowieństwa i przedstawiciele miejscowej inteligencyi świeckiej. Wśród obecnych gości widzieliśmy: ks. ks prałatów, Swobodę i Kasprowicza, ks. kanonika Cewego, miejscowego proboszcza gr.-kat. ks. Hlebowickiego; księży proboszczów: Mościckiego, Moczarowskiego, Złepkę, Handla, Zolesa, Łuczkę, Czwaczkę, Sebestény'ego; ks. ks. administratorów: Schüttlera i Kluczewskiego; ks. ks. katechetów Szymonowicza (z Czerniowiec) i Wolfa (z Suczawy); ks. ks. kooperatorów miejscowych, oraz Schüttlera i Haschlera; następnie zarządcę salin kaczyckich p. Cehaka, naczelnika urzędu sprzedaży soli p. Erneya i inspektorów szkolnych O. Żukowskiego i Grabowskiego, dyrektora Mielnika, nauczycieli Świderskiego i innych. Również zaproszeni zostali na probostwo pp. H. Zucker, redaktor *Gazety Polskiej* i Grzegorz Cicimirski z Czerniowiec.

Podczas obiadu rozpoczął szereg pięknych toastów ks. superyor Grabowski na temat „*Tempora muntantur et*

nos...", wyrażając jako gospodarz radość z powodu tak podniosłego przebiegu całej uroczystości, a zarazem podziękowanie duchowieństwu za trudy. Ks. prałat Swoboda zaznaczył w odpowiedzi, że rzeczywiście czasy się zmieniły, ale na lepsze, bo Kaczyka, mając tak wspaniałą świątynię, będzie silną placówką w pierwszym rzędzie katolicyzmu, ale i polskości (huczne brawa), a po tak ukochanym ks. Słomińskim pozyskała Kaczyka dzielnego pracownika kapłana ks. Grabowskiego.

Po gorąco oklaskiwanej mowie ks. prałata Swobody zabrał głos ks. prałat Kasprowicz i wyraził również radość z tak szczęśliwej zmiany w Kaczyce na lepsze, a wielką zasługę w utrzymaniu polskiego charakteru Kaczyki przypisał (słusznie) funkcyonaryuszom saliny kaczyckiej. Po odpowiedzi i podzięce imieniem saliny p. zarządcy Cehaka przemawiało jeszcze kilku mowców a oklaskom i „Niech żyje nam" nie było końca.

I wyjeżdżając z tej skromnej plebanii, opuszczaliśmy ją z tem głębokiem przekonaniem, że Kaczyka jest i pozostanie na przyszłość placówką katolicką i narodową, że mowa polska i uczucie narodowe znajdą gorących orędowników u tych czcigodnych kapłanów, że co rok zjeżdżając się do Kaczyki kapłani polscy i tysiące polskich pątników, pokrzepią się wzajem na siłach do dalszej cichej ale tak zbożnej pracy. Słusznie też podniósł jeden z kapłanów, że „katolik i Polak" to dwa nierozerwalne ze sobą pojęcia.

W końcu chcielibyśmy nadmienić jeszcze i to, że odpust w Kaczyce w tym roku był niejako mniejszem odbiciem, echem olbrzymiej uroczystości narodowo-religijnej w Częstochowie, na Jasnej Górze, u stóp Królowej Polski.

W tym samym dniu poświęcano tam nowo odbudowaną, sumptem całego narodu polskiego — wieżę, którą kilka lat temu zniszczył pożar.

Ale uroczystość na Jasnej Górze była w tym roku zarazem uroczystością, świętem miłości i braterstwa. Świątynia

na Jasnej Górze jest dla całej Polski symbolem jedności katolickiej i narodowej, symbolem miłości w przeciwieństwie do anarchii, która szarpie częścią ziem polskich pod panowaniem Rosyi.

I radowało się z pewnością serce zacnego kapłana ks. Słomińskiego, byłego superyora w Kaczyce, że może z Jasnej Góry (ks. Słomiński miał w Częstochowie kazanie podczas odpustu) — przenieść się duchem do zakątka bukowińskiego, gdzie sterczy ku niebu jak błagalna dłoń, wieżyca wspaniałej katolickiej świątyni Pańskiej, która będzie dla Polaków bukowińskich symbolem jedności narodowej, w miłości Wiary katolickiej i Ojczyzny!“

Parana. Przyjęcie ks. ks. Nuncyusza i Biskupa w *Tomaz-Coelho*. Kościół w *Prudentopolis*. Podane poprzednio wiadomości z Parany uzupełniamy z notatek *Gazety Polskiej w Brazylii* z dnia 19. lipca b. r. o Tomaz-Coelho, z dnia 16. sierpnia o Prudentopolis. *Z Tomaz Coelho*. Już przy Bariguy oczekiwała gości banderya, złożona z 25 kawalerzystów na dzielnych rumakach. Za zbliżeniem się powozu, w którym jechali ks. Nuncyusz i ks. Biskup, zeskoczyli z koni i przyklękli, a otrzymawszy błogosławieństwo, lotem wskoczyli na konie i otoczywszy gości, pomknęli, migocąc chorągiewkami o barwach brazylijskich, papieskich i polskich. Kawał drogi przed kościołem św. Michała, przy wspaniałej bramie tryumfalnej, oczekiwało czterech księży polskich, dziewczęta sypiące kwiaty i lud. Huk moździerzy odbiwszy się tysiącznem echem od wzgórzy, wpadał do chat, zwiastując przybycie oczekiwanego gościa. Przy bramie dostojnicy wysiedli, udając się do kościoła, wypełnionego szczelnie. Tu Wiel. ks. Bayer, wstąpiwszy na kazalnicę, wyjaśnił krótko: kto to jest ks. Nuncyusz i jaka jest jego godność a następnie po łacinie powitał przedstawiciela Jego Świątobliwości, serdeczną odpowiedz ks. Nuncyusza tłómacząc znowu zgromadzonym. Po wyjściu z kościoła udali się wszyscy na plebanię, gdzie

zanim podano śniadanie, ks. Nuncyusz, otoczony ludem naszym, rozmawiał ze wszystkimi. Po ukończonym posiłku miłych gości odprowadziła banderya.

Prudentopolis, dnia 30. lipca 1906 r. Kościół nasz już ukończony na zewnątrz i wypłacony, a robota wewnątrz postępuje szybko. Natychmiast po przyjeździe WW. Ks. Ks. Misyonarze odprawili uroczyste nabożeństwo a w pierwszą niedzielę mieliśmy dziękczynną mszę św. i kazanie, które wygłosił ks. Chylaszek. Naród był tak wzruszony, że płacz ogólny rozlegał się po kościele. Gdy ks. Superyor poszedł z tacą, zebrał sto milów na dalsze roboty i dziwił się i mówił, że ludu tak ofiarnego jak na Prudentopolis trudno spotkać w czasach dzisiejszych.

Ołtarz prowizoryczny jużeśmy zrobili, — może on posłużyć nam i przez czas dłuższy, bo jest fundamentalnie zrobiony. Obecnie robimy ławki i piękną ambonę, według rysunku W-go ks. Chylaszka. Ambonę robimy z drzewa imbujowego.

W drugą niedzielę już powiewały w kościele cztery piękne chorągwie, które poświęcił ks. Superyor, W. ks. Mięsopust, wypowiedziawszy przy tej sposobności piękną naukę. Dziś tu i w okolicy całej, nie mówią o czem innem, jak tylko o polskim kościele i o kapłanach naszych tak dobrych, jakby ich Bóg prosto z nieba spuścił na ziemię. Garną się też do nas i Brazylianie, a niedawno bawił u nas i ksiądz ormiański i odprawił w naszym kościele mszę św.

Cieszymy się jak dzieci z pięknych aparatów kościelnych, które WW. Księża ze sobą z Galicyi przywieźli, to też i z nas każdy z ofiarą spieszy. Sygnaturkę już mamy, — to zasługa naszych chłopców miejskich, którzy przez trzy dni podczas Bożego Narodzenia chodzili po liniach i kolędowali, a dziś cieszymy się wszyscy, gdy rano, w południe i wieczorem dzwonek zwołuje na „Anioł Pański". Chorągwie, — to znowu zasługa dziewcząt, które także chodziły po liniach

i kolędowały. Dwa prześliczne obrazy podarował nam Wiel. ks. Bayer (Serce Jezusa i Maryi), a kobiety złożyły się na okazałe do nich ramy. Mamy lichtarze toczone i obrazy i już zaczęliśmy kościół bielić, a gdy tylko wytchniemy, będziemy malować. O składkach napiszę później, albo nasz prezes p. Lech je wymieni po ukończonych robotach.

---

†

D. José Camargo Barros.

Bardzo boleśnie dotknęła nas wieść o rozbiciu okrętu „Syryusz“ przy brzegach Hiszpanii, bo między licznemi ofiarami nieostrożności kapitana znajdował się dawny biskup Kurytyby, który nas poraz pierwszy zaprosił do Parany. Ciało jego odnaleziono po dłuższym czasie na wybrzeżu algierskiem i pogrzebano uroczyście. Z nazwiskiem ks. biskupa Camargo Barros wiązać się będzie zawsze wspomnienie jednego z największych dobroczyńców naszej prowincyi, dlatego też podajemy kilka szczegółów z jego życia, zaznaczonych w *Gazecie Polskiej w Brazylii:*

„D. José Camargo Barros urodził się 24. kwietnia 1858. roku, w miasteczku Indaiatuba w stanie S. Paulo. Nauki rozpoczął w Itu', pierwsze święcenie otrzymał dnia 10. czerwca 1881. r. a ostatnie 11. marca 1883. r. i od tej chwili był przez lat trzy profesorem w seminaryum biskupiem, skąd poszedł na probostwo św. Ifigenii. Od tej chwili, jego duszę szlachetną i gorliwą pracę celem duchownego podniesienia powierzonej sobie owczarni mieli sposobność podziwiać wszyscy. W dniu 16. stycznia 1894. r. został wyznaczony na biskupa Kurytyby, dokąd przybył w tymże roku, po powrocie z Rzymu, gdzie na tę biskupią godność wyświęcony został. W nowej dyecezyi praca czekała go wielka i trudności niemałe, ale te nie przestraszały tego zacnego męża. Nic tu nie było a jest bardzo wiele. Wszystko on od początku stwarzać musiał i co dziś widzimy jemu swoje powstanie zawdzięcza i istnienie. Całe lata jego niestrudzonej pracy stwier-

dziły, że był to kapłan wielkich przymiotów umysłu i serca, który pojmując swoje wysokie powołanie, Chrystusowi służył a nie polityce. Przesada, nieprawda, gniew lub złość nie powstały w uściech tego Bożego męża i nie pokalały języka, którym głosił słowa Chrystusa o miłości. Ojciec — nie w słowach ale ojciec w czynie, o piękności religii katolickiej ucząc, nie różnic szukał wśród ludzi, ale ich potrzeb! Więc oprócz wielu zakładów wychowawczych w Paranie i św. Katarzynie otworzył seminaryum w Kurytybie; dla Niemców sprowadził zakon OO. Franciszkanów; dla nas szukając kapłanów, „coby jako żywe pochodnie mogli przyświecać swojemu ludowi", pisał do biskupów polskich w kraju i, — sprowadził Ks. Ks. Misyonarzy.

Wszystkie kościoły i kaplice nasze, za czasów nieboszczyka zbudowane, to pomnik widomy ś. p. zgasłego przedwcześnie kapłana, a drugi, niewidomy, lecz niemniej trwały, wyryty w sercach naszego ludu, któremu zmarły mąż Boży był ojcem prawdziwym. Cześć pamięci tego wielkiego człowieka-kapłana, o którym pamięć żyć będzie w dziełach jego".

EX. S. C. INDULGENTIARUM ET SS. RELIQUIARUM

Sacerdotibus Congregationis Missionis conceditur indultum quoad impositionem Scapularis B. M. V. de Monte Carmelo.

Beatissime Pater,

Augustinus Veneziani, Procurator Generalis Congregationis Missionis, ad pedes S. V. humiliter provolutus, enixe petit indultum, cuius vigore sacerdotes dictae Congregationis, qui facultate gaudent benedicendi ac imponendi Scapularia B. M. V. de Monte Carmelo, *occasione tantummodo magni concursus* illa benedicere valeant, quin teneantur eadem singulis christifidelibus imponere, omissa etiam nominum inscriptione in album confraternitatis.

Et Deus etc.

SS. D. N. Pius PP. X, in Audientia habita die 13. Iunii 1906. ab infrascripto Card. Praefecto S. C. Indulgentiis Sacrisque Reliquiis praepositae, benigne annuit pro gratia iuxta preces. Praesenti in perpetuum valituro. Contrariis quibuscumque non obstantibus.

Datum Romae, e Secretaria eiusdem Sacrae Congregationis, die 13. Iunii 1906.

A. Card. Tripepi, *Praefectus.*

L. † S. † D. Panici, Archiep. Laodicen., *Secretarius.*

Zmarli Misyonarze:

Ks. Izydor Vavasseur, 7. lipca w Paryżu, żył lat 71, w Zgromadzeniu 33.

Br. Michał Liobard, 11. lipca w Zeitenlik, żył lat 28, w Zgromadzeniu 6.

Kler. Piotr Hofstée, 18. lipca w Panningen, żył lat 27, w Zgromadzeniu 6.

Ks. Dyonizy Rio, 27. lipca w Madrycie, żył lat 46, w Zgromadzeniu 27.

Br. Franciszek Bandini, 5. sierpnia w Rzymie, żył lat 70, w Zgromadzeniu 37.

Ks. Franciszek Muret, 6. sierpnia w Paryżu, żył lat 54, w Zgromadzeniu 18.

Kler. Fryderyk Schlerondi, 23. sierpnia w Turynie, żył lat 22, w Zgromadzeniu 7.

Ks. Kasper Dumond, 28. sierpnia w Smyrnie, żył lat 76, w Zgromadzeniu 51.

Ks. Józef Negro, 30. sierpnia w Scarnafigi (Turyn), żył lat 59, w Zgromadzeniu 36.

Kler. Józef Sigalo, 1. września w Dax, żył lat 26, w Zgromadzeniu 6.

Ks. Józef Hilaryon Lizarribar, 12. września w Madrycie, żył lat 28, w Zgromadzeniu 12.

Kler. Faustyn Dominger, 19. września w Madrycie, żył lat 23, w Zgromadzeniu 7.

Kler. Frutos Arnaiz, 22. września w Madrycie, żył lat 23, w Zgromadzeniu 7.

Siostry Miłosierdzia:

S. Maryanna Zgoda, 20. sierpnia 1906. r. w szpitalu św. Łazarza w Krakowie, żyła lat 80, w Zgromadzeniu 54.

Kraków, drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.